

Akt 14: Kiedy świat zamyka oczy

6 stycznia 1272

609. Batalion Grenadierów Pancernych

Kiedy Conyfone szukał ochotnika, który wraz z nim pojedzie na inspekcję do 609. Batalionu Grenadierów Pancernych, zgłosiła się bez wahania. Wiedziała, że ta jednostka często współpracuje z 1. Batalionem Pancernym, więc miała nadzieję spotkać tam siostrę i tego uprzejmego kapitana, który ją już dwa razy obronił. Mówiła sobie, że to tylko po to, aby móc kontrolować, jak idzie Rarity w tej sprawie... wszak siostry interesowały się takimi sprawami. Jednak w duchu miała nadzieję, że on do niej też się odezwie.

Potem pluła sobie w brodę. Wyszła z bezpiecznego sztabu i ruszyła ku przygodzie, która ją wielokrotnie przerastała. W bezpiecznym bunkrze lub pod osłoną Twilight i jej eskorty zapomniiała, że jest delikatnym jednorozcem, artystką, która oblała wszystkie testy sprawnościowe.

Na miejscu okazało się, że odwiedzili najbardziej wysunięty przyczółek batalionu. Co parę kwadransów nawiedzała go krótkotrwała nawała artyleryjska. Był to typowy ogień nękający, mający zmieknąć obronę przez jakimś szturmem, który mógł nastąpić nie wiadomo kiedy.

Sweetie Belle nie mogła równać się Apple Bloom w biegłości w reperowaniu różnych urządzeń, ale wiele się nauczyła, podglądając cydrową przyjaciółkę.

Wbiegła do okopu, w którym zorganizowano prowizoryczny punkt dowodzenia. Siedzieli tutaj oficer, radiowiec i bandażujący kogoś medyk. Pomieszczenie było zwykłym, niecałkowicie oszalowanym dołem z bardzo cienkim dachem. Wzdrygnęła się na widok obłoconych, szarych twarzy, a także białego munduru sanitariusza, który w tej chwili miał barwę zbliżoną raczej do zwymiotowanego obiadu. Śmierdziało śmiercią i wnętrznościami.

Usiadła do radia i zdjęła z niego obudowę. Sprzęt musiał widzieć już wszystko w swoim życiu i wytrzymał to z niesamowitą cierpliwością. Wnętrze metalowego pudła było pełne grudek błota i kurzu, który dostawał się przez dwie dziury w blasze. Co więcej, sama radiostacja liczyła tyle wgłęci i odrapań farby, że aż dziw, że jeszcze przypominała samą siebie.

Pożałowała, że nie jest kucykiem ziemskim, który wychował się na farmie i miał starszego brata, który uczył go obsługi wszystkich możliwych narzędzi. Wciąż nie czuła się pewna w tym co robi, co nie uszło uwadze podoficera, który przyglądał się jej pracy. Zbierała średnio sympatyczne komentarze i chichoty zza pleców, które ją coraz bardziej rozpraszały. Zaczęły jej się trząść kopyta, a ogon samoistnie rytmicznie uderzał o ziemię, co jeszcze bardziej podsycalo atmosferę szydery. Policzki płonęły, a sama miała wrażenie, że tonie w jakimś czarnym, śmierdzącym bagnie. Serce biło coraz szybciej, a oczami wyobraźni już widziała, jak z uszu wydobywa się dym zażenowania. Pociła się obficie, więc jej codzienną higienę, z takim trudem pielęgnowaną w zimnej wodzie łaźni, ostatecznie szlag trafił.

W końcu udało jej się wymienić parę przewodów i zaśnieżone gniazdo, które najwidoczniej uniemożliwilo właściwe podłączenie mikrofonu. Teraz wystarczyło tylko zobaczyć jak działa i mogła związać się do bezpiecznego sztabu.

Niedaleko huknął grom, to znaczy rozerwał się granat artyleryjski. Weterani dookoła zdawali się tego nie zauważać i dalej wgapiali się w nią w oczekiwaniu na efekt naprawy. Sweetie Belle może była niewinna, ale czuła, że dokładnie obmacują ją wzrokiem w okolicach zadu i ogona. Przeklinała w myślach swoje tiki nerwowe, które najwidoczniej zwracały na siebie uwagę o wiele bardziej, niż się domyślała.

Znowu coś wybuchło, nieco bliżej, a potem dalej. Podskakiwała przy każdym razie, co też dodawało komizmu jej postaci. Łzy zaczęły same płynąć i po sekundzie straciła ostrość widzenia. Bała się obetrzeć twarz, nie mówiąc o sięgnięciu po chusteczkę.

– Już? – dobiegł ją okrzyk Conyfaney'a. – Mamy dziś jeszcze trzy kompanie do obskoczenia!

– Zaa...razzz... – wyjąkała z trudem. Nie tak miała wyglądać ta przygoda. Wciąż wyrzucała sobie głupotę. Mondea może była uszczypliwa i traktowała ją z góry, ale nie była głupia i miała świadomość, że Sweetie Belle dobrze radzi sobie z wszelkimi szyframi. Tam reperacjami zajmował się ktoś inny. Zresztą w bezpośrednim sąsiedztwie Apple Bloom mało kto odważał się z niej naśmiewać, gdyż musiał liczyć się z ciężkim spojrzeniem i słowem młodej farmerki.

Kiedy stwierdziła, że wszystko jest podłączone, przekręciła gałkę i zamknęła oczy, wzywając na pomoc Celestię, aby ta pozwoliła jej już wracać do sztabu.

Nic się nie stało. Celestia odmówiła wsparcia.

Radio nawet nie zatrzeszczało. Musiała w jakimś momencie odciąć zupełnie zasilanie, które wcześniej przecież działało!

Chciała po prostu rozryczeć się jak dziewczynka. Jej siła woli była teraz niczym podziurawiona i strzępiąca się pończocha, której nawet nie zdejmuje się z nogi, a po prostu w przypiływie gniewu zrywa i wyrzuca. Bała się spojrzeć za siebie, gdyż na pewno nie ujrzałaby niczego miłego. Chciała trwale zapaść się pod ziemię, umrzeć!

Wtedy coś wybuchło bardzo blisko.

Fala uderzeniowa położyła ją na posadzkę ziemianki, a dach zabrał potężny podmuch i rzucił nim gdzieś daleko. Ze źle umocnionej ściany wystrzeliła gleba i przykryła wszystkich cienką warstwą. Ktoś zaklął, ktoś krzyknął. Nie wiedziała co się dzieje, nic nie słyszała. Chyba sama wrzeszczała jak opętana, nie miała żadnej kontroli nad ciałem.

Ponownie coś wybuchło obok, a ona straciła na chwilę przytomność.

Kiedy otworzyła z powrotem oczy, mogło minąć i tysiąc lat, ale chyba jednak to była zaledwie chwila. Dookoła panowało artyleryjskie trzęsienie ziemi, które przyduszało wszystkich do klepiska. Z trudem utrzymując równowagę i trzymając się szalunku pochyłał się nad nią medyk i klepał po policzkach.

– Żyjesz? Połamało cię? – krzyknął do niej, próbując przekrzyczeć eksplozje. Nie mając w ogóle pojęcia, o czym on do niej mówi, okrucieństwem pokręciła głową. – To spierdalaj stąd! Ja biorę tego!

Żałował sobie na grzbiet żołnierza, którego wcześniej bandażował. Zrobił to tak szybko, że po chwili już ich nie było, a w okopie został jeszcze tylko jeden ogier z Mauserem. Ignorując panujące dookoła piekło, sypiące się błoto i latające zabójcze odłamki, widząc, że Sweetie Belle wciąż leży nieruchomo, podskoczył do niej i silnym ruchem ją poderwał na nogi.

– Uciekaj! – krzyknął, lecz wciąż była zbyt zszokowana, aby wykonać samodzielnie choćby krok. Przyklęknął, aby wdrapała mu się na grzbiet, co w końcu jakoś przebiło się do

jej świadomości Podeszła do niego i uniosła nogę, ale była tak sztywna ze strachu, że nie mogła wejść mu na plecy. Ogier miał w oczach coraz większą panikę.

– Szybciej! BŁAGAM!

Wtedy artyleria ucichła, ale nie nastąpiła po niej ta miażdżąca, charakterystyczna cisza. Zamiast tego usłyszeli równie przerażające „Urra!

– O, Luno! – jęknął ogier i podbiegł do ścianki okopu, zdejmując i przeładowując karabin. – Uciekaj sama. NO WIEJ! WIEEEJ!

Tchnęło ją, a adrenalina w końcu przejęła władzę nad ciałem i zmusiła je do właściwych ruchów. Nawet zdążyła odwrócić się w kierunku wyjścia z transzei. Nawet przeszła z metr lub półtorej. Lecz wtedy eksplodował celnie wrzucony do ich okopu granat.

Siła podmuchu rzuciła nią o ścianę okopu. Czerwień zalała wszystko. Otrząsnęła się szybko, stwierdziwszy z ulgą, że niczego sobie nie złamała. Za to jej obrońca leżał w nienaturalnej pozycji z wielką, czerwoną dziurą na miejscu ucha. Hełm wgął się głęboko w czaszkę. Nie miał prawa tego przeżyć.

– Oj, Luno, Luno, Luno! – piszczała Sweetie Belle próbując wstać.

– URRRA! – rozległo się tuż nad jej uchem. Odwróciła się przerażona, jednym okiem szukając zagrożenia, a drugim karabinu, który zgubił strzelec. Działająca adrenalina nakazała jej walczyć. Dziewczyna nagle przypomniała sobie, że jest żołnierzem, dla którego ktoś poświęcił życie.

Zauważyła go zaledwie dwa metry od siebie. Skoczyła w jego kierunku, ale wtedy stanął na nim ogier o zielonych oczach, w jasnym płaszczu z czerwonym rogiem na futrzanej czapce. Kopnął ją w ramię, odpychając na bok, a potem wymierzył w nią pistolet.

Sweetie Belle zdążyła zarejestrować tylko czarny otwór lufy, nim nacisnął spust. Rozległo się kliknięcie, które zmroziło jej serce na popękany sopel.

Potem kolejne i kolejne, a Sombryjczyk prychnął z wściekłości. Schował pistolet i sięgnął po bagnet, ale wtedy Sweetie Belle wyrwała się z osłupienia i zawrzała z niespodziewanego jak uderzenie pioruna gniewu. Aktywowała się w niej znikąd potężna agresja. Wrzasnęła i skoczyła z zębami na jego pierś. Był pochylony, więc zdołała złapać ucho i ugryzła najsilniej jak potrafiła. Ogier wrzasnął i silnym ruchem strącił ją z siebie, wymierzając kolejnego kopniaka. Tym razem nie trafił, a robiąc zamach upuścił wysunięte z pochwy ostrze. Teraz to ona nadepnęła na jego broń, więc pozostały im zęby i kopyta.

Skoczyli na siebie, okładając wzajemnie ciosami. Sweetie otrzymała silną sówkę w bok i gnąc się z bólu zrozumiała, że nie wygra. Przeciwnik był większy i silniejszy. Postanowiła zatem zagrać nieczysto. Nie myślała nad tym, co robi. To działa się szaleńczo samo. Kazała jej to zrobić czerwona mgła zasłaniająca wszystko! Od przestrzeni dookoła po jej własny zdrowy rozsądek!

Biały róg rozbłysnął zielenią i wystrzeliła z niego jadowity promień, który ugodził Sombryjczyka prosto w czoło. Ogier wrzasnął i padł na plecy. Spadła mu czapka, odsłaniając jego róg. Sweetie pisnęła zaskoczona. Jednorożców w Armii Czerwonej było niewiele i nie wiedziała, czego się po nim spodziewać.

To zaskoczenie wytrąciło jej inicjatywę z kopyt. Bała się ponownie zaatakować, a adrenalina jeszcze przed chwilą zmuszającą ją do bezwzględnej walki nagle wyparowała. Wróg podniósł się, a oczy zapłonęły mu szkarłatem. Prychnął z wściekłości, a potem jego róg również zaczął świecić na czerwono. Ryknął i natarł na Sweetie Belle, godząc ją prosto w czoło. Wystrzeliła ruda błyskawica, a oczy dziewczyny również przybrały na chwilę czerwony odcień. Klacz poczuła to jak wbicie szpilek prosto w źrenice. Rzuciła się do tyłu,

przerywając połączenie i padła na ziemię we drgawkach. Sombryczyk sięgnął po swój bagnet, chwycił go zębami i ostrożnie zbliżył się do niej, nie będąc pewny, czy Equestrianka nie rzuci się na niego z nienacką.

Ale Sweetie Belle nie był w stanie wyprostować się z bólu, który płonął w jej oczach. Jakby zamiast żrenic miała dwie żagwie, jakby wsadziła głowę prosto w ognisko!

Płonęła. Jej tęczyówki stały się szkarłatne i pulsowały koszmarnym blaskiem. Jakby znalazła się w środku pieca, do którego ktoś dolewał benzynę. Co chwilę wstrząsała nią eksplozja bólu, która wyginała jej kręgosłup w bolesne, nienaturalne formy. Klacz widziała tylko szalejące dookoła pomarańczowe i żółte eksplozje kolorów, nakładające się na siebie i migające w takim tempie, że nie wytrzymała i zwymiotowała pod siebie.

To nieco zaskoczyło Sombryczyka, który stanąwszy nad nią, zawahał się. Patrzył chwilę na to, jak dziewczyna umiera... jak wije się coraz słabiej, aż w końcu wiotczeje z szeroko rozwartymi ustami w niemym krzyku. Oczy miała zalane krwią, która niżej mieszała się z wymiocinami w niewypowiedziane obrzydliwe bagno, w którym tonął jej mundur.

Leżała martwa z wysuniętym językiem zamoczonym w szambie, jakby je chciała zlizać, ostatek sił poszukując wilgoci przed śmiertelnym wyschnięciem.

Emocje nieco opadły i ogier na chłodno stwierdził, że jego przeciwniczka nie żyje. Schował bagnet do pochwy, znalazł pistolet, wziął też karabin i opuścił okop, dołączając do swoich towarzyszy szukających w transzei łupów.

Stygnące ciało Sweetie Belle zaczął powoli pokrywać biały śnieg, maskując czerwień i żółć, w którym się kąpała. Nie była to śmierć godna artystki, obiecującej diwy i multiinstrumentalistki, osobistej sopranistki Celestii. W czasie kilku minut z młodej i czarującej serca pięknej dziewczyny stała się padliną. Wyglądała jak sponiewierane, zniszczone resztki po uczcie drapieżnika, który to w połowie posiłku stracił zainteresowanie bezimienną ofiarą, zostawiając ją ścierwojadom. Nawet symbole narodowe na furażerze się zatarły od błota, a znaczek będący złożonym z nut mieczem drwił ze swojej właścicielki. Nie wyglądał teraz ani trochę dumnie.

Sama, jedynie w towarzystwie zmasakrowanych przez granat zwłok jeszcze jednego anonimowego strzelca, którego ciało również za chwilę przykryje śnieg. Ten pojawił się jak na wezwanie. Biały całun, próbujący choć odrobinę oszczędzić zbezczeszczenia życiu i śmierci młodych, niewinnych istot.

Nie było dookoła nikogo, kto nie mógłby po prostu zamknąć jej oczu, które z czerwonych stały się różowawe i dalej blakły, wbiwszy niewidzące spojrzenie w niebo, gdzie za chmurami skrywało się najwidoczniej zawstydzone swoją klęską oko Celestii.

Nikt nie zamknął jej powiek...

*

6 stycznia 1272

9. Pułk Pancerny

Ktoś załomotał do wjazdu. Pinkie otworzyła i ujrzała zaciętą twarz Applejack.

– Trzy kilometry, za tą dużą brzezina! – wskazała kopytem na szeroki, ale zapewne niezbyt gruby pas cienkich pni. – Z pięć wrogich czołgów, tych z długimi lufami!

– T-34 „Lang” lub ISy-2 – skomentował Digter. – Trzeba...

Zagrzmiało, a Applejack z krzykiem spadła z czołgu. Ziemia zatrzęsa się, jakby jakiś olbrzym stąpnął tuż obok czołgu. Pinkie Pie wytrzeszczyła oczy i wyskoczyła z Tygrysa.

– Pani major! – wydarł się Marder. W środku było bezpiecznie. Korzystając ze swej karłowatości bez trudu precyzyjnie się na siodełko dowódcy i wyszedł z pojazdu, aby znaleźć różową klacz.

W tym momencie coś eksplodowało znowu, ale dużo dalej. Świat na chwilę zasłoniły trzy gejzery błota, z czego jeden obsypał Mardera. Ogierek odkasznął i roztarł na twarzy brud.

Obok czołgu znajdował się świeży lej po wybuchu. Po drugiej stronie Tygrysa na pancerz wdrapała się wyraźnie wkurzona Applejack, podciągana przez Pinkie Pie. Najwidoczniej fala uderzeniowa zdmuchnęła klacz, ale nie zrobiła jej krzywdy. Pozostali grenadierzy i Rarity pochowali się w cieniu wszystkich czterech Tygrysów, które stacjonowały obok.

– Pani major! Spieprzajmy stąd!

– Tak... tutaj jakoś tak smutno się robi... – prychnęła poirytowana Pinkie. – Rarity! Ładuj się na górę!

Marder z wielką przyjemnością zakłębieniem wciągnął uzdrowicielkę na górę i oczekiwał od niej uprzejmego uśmiechu. Reprezentantka Klejonotu Szczodrości była jednak zbyt skupiona na nadchodzącej akcji, aby odpowiedzieć czymś więcej niż skinieniem głowy.

Silnik ryknął, Nighting Fighter przekazał plutonowi rozkaz, a Applejack kilkoma gestami zarządziła zmianę pozycji. Ledwo przejechali sto metrów, a artyleria wstrzeliła się dokładniej w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą byli. Grenadierzy brnęli koleinami, które w śniegu żłobiły szerokie jak łóżko gąsienice. Czuźnie rozglądali się dookoła wiedząc, że czołgi mimo swej potęgi były tak naprawdę ślepe i bez zewnętrznego obserwatora łatwo było je zaskoczyć.

Applejack popatrzyła na swojego feldkurata, czyli Katerinę. Dziewczyna była równocześnie felczerem, choć zainteresowania światem duchowym pozwalały jej mówić o duszy i innych abstrakcyjnych dla farmerki rzeczach w sposób całkiem przejmujący. Zaskakująca była odporność dziewczyny na stres bojowy i okrucieństwo walki. Pomimo, że wyglądała na delikatną artystkę, to po każdym przeżytym piekielnym dniu po prostu medytowała, a potem była znowu uśmiechnięta. Może to był sposób?

– Kaem! Jedenasta, dwieście metrów! – krzyknął Greenhorn. Applejack chciała tradycyjnie wskoczyć na pancerz i załomotać we właz, aby pokazać czołgom, gdzie mają strzelać, ale nie zdążyła. I bez lornetki ujrzała, jak w linii drzew coś się dzieje. Brzozy łamią się jak zapalki, a spomiędzy nich w chmurze drzazg wyjeżdża kilka potężnych sylwetek z cholernie długimi, pękatymi działami.

– ISy! ISy! – zaalarmowała kompanię. Ostrzeżenie zostało przekazane dalej, a wtedy zaterkotał wykryty przez Greenhorna Diektariów. Seria poszła jednak za wysoko, więc tylko skulili się i swobodnie przytulili do czołgów. Rozległa się salwa Mauserów, ale dystans był zbyt duży, aby trafić.

– Oszczędzać amunicję! – krzyknęła Applejack. – Padnij! Nie wychylać się! Rudy, Silver Wing, okrążyc z lewej! Rarity, zeskocz z czołgu, aby ciebie coś nie zdmuchnęło!

Wskazana dwójka zaczęła się przedzierać przez śnieg w kierunku wschodnim, lecz było to powolne i ciężkie. Ponadto okazało się, że kaemów jest więcej i kompania wpadła w ogień krzyżowy. Wszyscy zostali przygnieci do samej gleby i nie mogli powstać, aby rozejrzeć się w sytuacji. Wejść pod czołgi był strach, bo zaraz mogły ruszyć i zmiażdżyć pechowca gąsienicami.

Rarity z kolei kuliła się z tylnym pancerzem i biernie czekała, aż bardziej wojownicze od niej kucyki jakoś poradzą sobie z problemami, które rzuciły się na nią jak sfora wygłodniałych, dzikich psów.

Tygrysy miały też swoje problemy. Jeden huknął z działa, ale pocisk zrykoszetował od pochylego pancerza IS-a. To musiało dodać Sombryjczykom animuszu, gdyż podjechali bliżej, aby skrócić dystans i mieć pewniejsze strzały. Wiedzieli, że posiadają kiepskie celowniki, ale jak już trafią, to niewiele zostaje z celu.

Marder z niepokojem odgarniał włosy z czoła i próbował wycelować. Akurat słońce stało nisko i świeciło prosto w celownik, uniemożliwiając mu skupienie. Już raz tak haniebnie spudłował, że chyba zetnie włosy w ramach pokuty. Wiedział, że IS-y za sekundę lub dwie zbliżą się na tyle, że zrobią z nich jajecznicę.

Sześć wrogich czołgów ciężkich! Nawet jakby jakimś cudem teraz cały jego pluton trafił, to zostaje para wkurzonych Sombryjczyków, która może jednym strzałem przerwać wszystkie moralne dylematy maremachowców.

– JEST! – wydarł się i zaczął bić kopytami po wszystkim dookoła, a nawet wystrzelił małą błyskawicę prosto w zad Ruhisa.

– Odwal się! – krzyknął ładowniczy, pākując do zamka kolejny nabój przeciwpancerny. – Jeszcze pięciu!

Huk!

Uderzenie gorąca i przerażający, rozdzierający czaszkę dźwięk giętej blachy. Coś oderwało się od wewnętrznej ściany i z brzękiem zaczęło się odbijać od kołyski działa i podłogi. Nikogo nie trafiło, ale w jednym miejscu zostawiło całkiem głębokie wgłębienie w stali. Urwało Marderowi pukiel włosów, a ogierek poczuł, że coś mu cieknie między nogami. Czołg wyraźnie się przesunął, lecz pozostał w jednym kawałku. Pinkie krzyknęła kilka razy i kazała się wszystkim zameldować.

– Magnet, jestem cały! – powiedział kierowca do interkomu.

– Ruhis, cały!

– Mayder, ich bin da!

– Nighting, jestem!

– Nie ma pożaru? To tańczyć dalej!

– Magnet, sześćdziesiąt stopni w lewo! – powiedział Marder. Wieża Tygrysa była ociężała, więc opłacało się obracać ją razem z całym czołgiem, aby szybciej znaleźć cel. Kierowca obrócił kierownicę... i nic się nie stało. Przyrząd wisiał na drążku jak zabawka, nie stawiając żadnego oporu. Coś w układzie skrętnym musiało się urwać. Wszystkie ogiery bez wyjątku zakłęły jak najszpetniej. Ruhis popatrzył najpierw na Pinkie, a potem na Mardera. Uciekają czy nie? Czołg był unieruchomiony.

Major spojrzała przez peryskopy i stwierdziła, że Applejack dobrze sobie radzi. Może i przygięta do ziemi, ale posuwała się do przodu. Nie mogła zostawić przyjaciółki! Nie mogła po prostu jej powiedzieć, że niestety, ale wsparcia nie ma i nie będzie.

– Pinkie Pie chce walczyć dalej!

– Hurra! – wrzasnął Ruhis, a Marder w końcu wycelował w kolejny czołg.

Strzał.

Trafienie!

Z IS-a poleciał dym, lecz ten nadal jechał do przodu. Zatrzymał się i nawet oddał pięknym za nadobne. Pinkie ujrzała w wizjerze, jak Tygrys po lewej również zaczął się kopcić.

– Blackpool dostała! Żyją, ale chyba zaraz spieprzą! – zameldował Nighting, odklejając się na chwilę od kolby MG34. Próbował wspierać grenadierów strzelając po gniazdach, ale kończyła mu się amunicja, a trafień jakoś brakowało.

Applejack na zewnątrz widząc już dwa uszkodzone czołgi z czterech uznała, że to chyba dobry moment na danie nogi. Jeszcze żyli, jeszcze nie było ofiar. Ale zawdzięczali to tak niewyobrażalnemu szczęściu, że na pewno wyczerpali już limity na dwa tygodnie wprzód. Należało spojrzeć porażce prosto w twarz i odpuścić ten kawałek frontu, choć konsekwencje będą zapewne potworne.

Na domiar złego coś poruszyło się między drzewami. Do jej uszu doleciały dalekie gwizdki i gromkie „urra!”, a spomiędzy brzoź wybiegło kilka tuzinów galopujących sylwetek z rozwianymi płaszczami. Goniły nacierające czołgi.

Tego było za wiele. Strach ścisnął jej serce i zmusił do podjęcia natychmiastowej, jedynej słusznej decyzji.

Już dmuchnęła w gwizdek, aby zwrócić na siebie uwagę, kiedy usłyszała gang kilku silników. Spojrzała pod słońce. Jeśli to czerwone sokoły, to byli w dupie. I tak nic nie dojrzą, z oślepiającej poświaty mogły wyskoczyć szturmowiki i zrobić im jesień średniowiecza. Jednak ten warkot był jakby grubszy...

– To nasi! NAAAAASIIII! – rozwrzeszczał się Silver Wing i nawet uderzył kilka razy skrzydłami z rosnącej radości. Wszyscy popatrzyli są siebie i również zaczęli tupać, bić kopytami w śnieg i podrzucać czapki w górę.

Nadciągały dwa wielkie, dwusilnikowe szybkie bombowce z wyraźnymi, wystającymi spod brzuchów klójkami siedemdziesięciopięciomilimetrowych dział.

*

– Skrzydłowy! Co tam się dzieje, do cholery?

– Nasi mają kłopoty. To dziwne z wieżą bardzo z przodu to czerwone. Dużo ich.

Pilot Junkersa Ju 88 P1 nie myślał długo. Nieważne, że wracali z nieudanej misji, gdzie przepłoszyły ich Jakowlewy i jeszcze rozwaliły mu pół statecznika, a silnik słabł z każdą chwilą. On jakoś sobie poradzi, doleci do domu i tam zatroszczą się o niego mechanicy. A ci na dole mieli wyraźne kłopoty. Nie mógł ich tak zostawić. To byli jego bezskrzydli przyjaciele!

– Skrzydłowy, pomożemy naszym pancernym, grubaśnym kolegom. Ty lewa strona, ja prawa. Wolny ogień!

*

Junkersy zaatakowały na niskim pułapie. Z przygważdżającym do ziemi wyciem przeleciały nad Tygrysami, a wtedy rozległy się dwa puknięcia ich podwieszonych dział. Oba Junkersy podskoczyły, zadartszy od odrzutu nosy do góry, ale utrzymały kurs,

Trafienia poszły obok, wywołując fontanny śniegu. Mimo braku trafień czołgi przstraszyły się, gdyż połowa z nich się zatrzymała, a jeden nawet wrzucił wsteczny bieg. Wtedy któryś z Tygrysów w końcu zrobił to, na co wszyscy czekali, i wysadził jednego ISa, trzymającego się na uboczu. Zapewne dowódcę.

O ile wypadki wcześniej toczyły się szybko, to teraz popędziły z góry na łeb, na szyję. Junkersy ociężale zawróciły i ponowiły atak, waląc w słabiej opancerzony tył wież i kłapy silników. Teraz nie chybiły i dwa IS-y podskoczyły, a potem wystrzeliły w górę dymem, niczym kominy w elektrowni. Ich włazy otworzyły się i ze środka uciekali spłoszeni czołgiści. Piechota próbowała strzelać do samolotów, ale podwieszone pod brzuchami karabiny maszynowe odpowiedziały swoim ogniem. Musiały też trafić kogoś istotnego, gdyż teraz całe kontrnatarcie rozsypało się jak domek z kart. Czołgi zaczęły robić każdy coś innego, a piechota zgodnie zawróciła i uciekała w stronę drzew. Nim Junkersy jeszcze raz nawróciły, pozostałe przy życiu dwa ISy już były do połowy obrócone. Kolejna salwa zniszczyła jednemu z nich podwozia, przez co oba były teraz ciężko uszkodzone.

Na to tylko czekała Applejack. Gwizdnęła ponownie, wyciągnęła szablę i pokazała nią kierunek natarcia.

– EQUESTRIAAAA! – krzyknęła ile sił w płucach i pogalopowała naprzód. Wrogie ciekamy, mając między nią a sobą własną uciekającą piechotę, nie wiedziały jak otworzyć ogień. Dlatego milczały. Pozostałe dwa sprawne Tygrysy również podjęły pościg, a Blackpool ostatecznie opuściła pojazd. Piątka pancerniaków jednak nie zwała z pola bitwy, a wzięła swoją broń przyboczną i przyłączyła się do szturm. Blackpool również posiadała broń białą, czyli piękny i długi damski miecz o cienkim ostrzu.

Marder mógł w końcu spokojnie wycelować i nabojem burzącym wyeliminować jedno z namierzonych gniazd CKM.

– Giń, skurwielu! – syknął, a Pinkie podała namiary na kolejny cel.

Ocalały IS nie patrzył na swoich piechurów, nie czekał na osłonę. Po prostu przetoczył się przez własne okopy i pognał dalej, przebijając się przez brzezinkę. Zaskoczeni cekaemiści i oficerowie bezradnie patrzyli, jak ich ciężkie wsparcie znika za wzgórzem. Ten ze zniszczonym przez samoloty podwoziem został opuszczony.

Zostali sami naprzeciwko dwóch Tygrysów i kompanii grenadierów.

Lotnicy uznali, że dość już narozrabiali i ostatecznie zawrócili. Pinkie wychyliła się z wjazdu i pomachała do nich wesoło. Musieli to zauważyć, gdyż przelatując ponad nimi odwzajemnili gest skrzydłami, co przy tak wielkich samolotach wyglądała iście majestatycznie.

– Dobra robota! Pinkie Pie jest super-duper pełna podziwu!

Trzy Tygrysy przestały liczyć amunicję i rżnęły wszystkimi karabinami maszynowymi, ile fabryka dała. Pokryta ogniem transzeja sombryjska milczała.

Applejack czuła euforię. Adrenalina rozsadzała żyły i szukała ujścia. Trzymana w zębach szabla świerzbiła, zdawała się płonąć. Musiała! Musiała ją wypluć, wziąć w dwa kopyta i zatańczyć.

Dobiegła wraz z Blackpool w tej samej chwili do okopu.

Odbiła się tylnymi nogami od ziemi, przełożyła rękojeść z ust w kopyta i wrzeszcząc, wpadła do środka. Przeleciała ponad wyciągniętym Mosinem z bagnetem i cięła z góry na dół, wkładając w to całą swoją ogromną siłę. Głownia przebiła hełm i czaszkę jak jajko. Applejack wylądowała i silnym ruchem wyciągnęła broń z odrażającym zgrzytem. Obok Blackpool zaczęła tańczyć wraz z jednym oficerem, który również posiadał miecz,

najpewniej zdobyty na wrogu. Jednak nie miał umiejętności szlachcianki, która musiała fechtować od malarstwa. Wymiana ciosów trwała dwie sekundy i odcięła mu nogę, a potem od razu dobiła sztychem prosto w serce. Zaśpiewała coś niezrozumiałego i poszukała kolejnego przeciwnika. Nie było ich jednak wielu. Sombryjczycy rzucali broń, a jakkolwiek próbę oporu przerwał strzał z SVT Rudego.

– Ruki wierch! – wrzasnęła Applejack i przyłożyła koniec szabli do szyi oficera. Ten powoli położył się poddańczo i patrzył na nią wzrokiem przerażonego, zbitego psa. Słyszał o bestialstwie rojalistów, że ich jednorożce nabijają na swoje rogi serca pokonanych wrogów, wyrwane z piersi na żywca i jeszcze ciepłe, bijące. Ta dziwna klacz z szachownicą na znaczku w czarnym, demonicznym mundurze była jednorożcem. Taki mundur mógł oznaczać tylko demona. Co mu zrobić? Będą torturować? W Sombrii za klęskę czekałby go obóz i kula w tył głowy, to co dopiero muszą robić jeszcze gorsi rojaliści?! Oddadzą na pastwę lawendowej czarownicy i jej smokowi? Ponoć on smakuje się w kucykach!

– Nie róbcie głupstw, a nie stanie wam się krzywda – powiedziała Blackpool ze szkolnie wyćwiczonym, sombryjskim akcentem. Sombryjczyk myślał, że się przesłyszał albo to jakaś perfidna gra, mająca uśpić jego czujność.

Marder wyszedł z czołgu na chłodne powietrze i ciężko dysząc, patrzył przez lornetkę na rozbrajanie czerwonych. Ten dzień mógł skończyć się tragicznie, a jakimś cudem wygrali, i to w wielkim stylu! Bez poważnych strat! Nighting i Magnet już sprawdzali obrażenia, chyba nie było to nic nie do naprawienia.

Wszystko dzięki tym dwóm chojrakom z Luftmare, którzy pojawili się znikąd. Wyśle na lotnisko jakiś geschenk... może dużą beczkę cydru. Niestety, ale będzie musiał skorzystać z książęcych funduszy przesyłanych przez ojca, czego nie lubił. Ale... tutaj chodziło o honor rodziny i podziękowanie za uratowanie dupy.

Koło której ogień już zdrowo buzował.

-Medyk potrzebny? – zapytała nieśmiało Rarity, a Pinkie Pie podskoczyła.

-O tak! Pinkie Pie bardzo źle się czuje!

-Co się stało? – spytała z troską projektantka, a wtedy różowa klacz na nią skoczyła i przytuliła odbierając dech.

-Uśmiechnij się, ty paskudny smutase! To znaczy nie paskudny, że brzydki, bo jesteś ładna i Pinkie zawsze tak uważała, ale...

-Sądzę, że pani kapitan świetnie rozumie – przerwał jej Digter, a Rarity spod różowej grzywy spojrzała na niego z wdzięcznością.

*

Zakrztusiła się. Charknęła, wypływając z ust coś obrzydliwego. Zdrętwiały z zimna język nie czuł smaków, ale konsystencja papki o mało nie przyprawiła jej o kolejne wymioty.

Nie mogła otworzyć oczu, które bolały ją jak nic wcześniej w życiu. Ból promieniował od źrenic aż po ogon, nie omijając żadnych organów wewnętrznych i wykręcając je na drugą stronę. Autentycznie miała wrażenie, że ktoś je w tej chwili miażdży w zębach!

Spróbowała ruszyć ogonem...

Dała radę, zatem kręgosłup ocalał.

Kopyta też ją słuchały, choć nie była pewna, czy ten tępy ból to zimno czy złamanie. Z wielkim trudem podniosła głowę, ale tylko na tyle starczyło jej sił. Dysząc ciężko, policzyła do dwudziestu, a potem wspierając się o ścianę okopu wspięła na własne kopyta. Oparła się o belkowanie i w tej pozycji dała jakoś radę wytrzymać. Ponownie spróbowała otworzyć oczy, ale nadal nie mogła. Przestraszyła się, że zamarzyły albo ją oślepiło jakieś światło i teraz przez parę dni będzie musiała leżeć w lazarecie.

Parę dni leżenia... to przecież śmieszne, skoro żyję!

– Otwórzcie się... – pisnęła cichutko, lecz zachrypnięte gardło wydało z siebie jedynie jakiś niezrozumiały skrzek. Kaszlnęła i oczyściła je, ale wtedy do listy obolałych części ciała musiała dopisać też tchawicę.

– Chyba mam zapalenie czegoś... – szepnęła. Chciała przetrzeć oczy, ale ze zdumieniem stwierdziła, że wcale nie ma ich zamkniętych.

Ona po prostu nic nie widziała.

Teraz zdała sobie sprawę, że dookoła jest nie tyle mrok, nie tyle czerń, co po prostu... nic nie widzi. Ani czerni, ani bieli. Ni rozmazanych kształtów, ni nawet świateł.

Zrobiła krok do przodu i wdepnęła w kałużę przymarzniętych rzygowin. Wzdrygnęła się i krzyknęła, uderzywszy zadem w zaostrozony sęk belki ze ściany. Pisnęła, rozciawszy sobie skórę.

Stała sztywno bojąc się ruszyć.

Była ślepa... świat zmienił się w ciemny pokój, w którym na każdym kroku mogła czyhać pułapka, której nie mogła dostrzec.

Nie... nie... NIE! Nie wierzę! Dlaczego?! DLACZEGO?!

Nie mogła w to uwierzyć. Machała dookoła nogami, potrząsała nimi przed twarzą w panicznym geście próby dojrzenia własnych kopyt. Obmacywała swoją twarz, chcąc wmówić sobie, że to nie jest tak, że oślepla, a po prostu nie czuje tych kopyt, tylko jej się wydaje, że nimi porusza! Wołałaby mieć je połamane, pourywane, ale nadal widzieć! Widzieć! Jak będzie teraz żyć? Pełzać po ziemi jak karaluch i wymacując drogi czułkami?! Jak czarować bez kontaktu wzrokowego? Jak grać na instrumentach, jak czytać nuty, jak rozpoznawać bliskie twarze?!

Jak i po co teraz żyć?

– Och, słodka Celestio! – jęknęła, wpadając w coraz głębszą panikę i rozpacz. Już nigdy nic nie zobaczy, nie będzie mogła smakować słońca, księżyca ani barw! Jak będzie tym, kim wcześniej? Straci kontakt ze światem, który stanie się dla niej niekończącym się torem przeszkód. Gdzie tutaj będzie miejsce za piękno i jego konsumpcję?

Już na zawsze pograży się nicości. Pustej, nagiej, zimnej. Nawet nie czarnej, czerni ma przecież swój subtelny urok. Ona po prostu nic nie zobaczy już nigdy!

Rozpłakała się. Nareszcie mogła to zrobić i wylać z siebie te wszystkie złogi smutku, wstydu i strachu, które zatruiły jej ciało i umysł. Ryczała, niemalże wrzeszczała, ignorując niebezpieczeństwo, że ktoś ją znajdzie. Nie myślała o niczym, na chwilę się wyłączyła, a ciało samo się oczyszczało niczym beczka, z której wylewano pomyje i potem ją czyszczono pod szlauchem. Zawodząc na różnych tonacjach, chlupała na wpół bezwładnymi ustami. Jedno, co jej oczy zachowały to łzy, które teraz oczyszczały jej twarz z brudu i krwi.

Poza tym ich nie czuła.

Dopiero po jakimś kwadransie zdała sobie sprawę, że jest tutaj sama i zdana na łaskę lub niełaskę wroga.

Nie wiedziała gdzie on jest, czy został pokonany czy też zwyciężył. Stwierdziła jednak, że będzie lepiej siedzieć cicho i poszukać drogi ucieczki.

– Ale jak to zrobić na ślepo? – jęknęła. Bała się uczynić chociaż jeden krok, który przecież mógł przynieść jej zgubę. Mogła wdepnąć na bagnę, na ostry odłamek, czyjeś zwłoki albo drut kolczasty.

Długo zbierała się w sobie i postanowiła, że pójdzie wzdłuż ściany okopu, którą wyczuwała plecami. Tam jak pamiętała powinno być wyjście, które wychodzi prostopadle do tylnej linii, która być może ocalała.

Zastrzygła uchem, ale niczego nie słyszała. Ani krzyków, ani jęków, ani strzałów.

Była tutaj całkiem sama, jak gość na cmentarzu.

Wydawało jej się to trochę dziwne. Normalnie mogłaby to zlekceważyć, ale zdała sobie sprawę, że teraz musiała brać pod uwagę cały szereg nowych czynników, na które nigdy wcześniej nie zwracała uwagi.

Na przykład... która to była ściana okopu? Ta od strony swoich, czy od strony Sombry?

Nie była pewna, a obawiała się, że jak pójdzie wzdłuż złej strony, to ta ją wypłuje w nieznanym miejscu i zgubi się na całego.

Poczuła, że słońce bardzo słabo dotyka jej twarzy... tak jakoś pod dużym kątem. Zatem musiało już dawno minąć południe i nadchodził wieczór. Skoro tak, to słońce świeciło wyraźnie na południu... a więc teraz znajdowała się przy tej dobrej stronie.

Dobrze, to teraz powolutku, ostrożnie, krok za krokiem... by nie wdepnąć w czyjąś czaszkę...

Co dalej? Aha... zakręt... chyba faktycznie taki tutaj był. Ojej, jest drugi...

Tego drugiego nie mogła sobie przypomnieć i przestraszyła się, że się zgubi. Usiadła zrozpaczona, pokonana już po kilku pierwszych krokach. Tak zaczynała się jej dzielna walka z własnym kalectwem. Epicką klęską!

– To nie pułapki są najgorsze... – szepnęła do siebie, przełykając z trudem ślinę. Mówiła na głos, aby dodać sobie animuszu – ale ta przekłeta bezradność.

Czekała na cud, absolutnie nie wiedząc, co dalej ze sobą zrobić. Zdała sobie sprawę, że nawet jak wyjdzie z okopu po właściwej stronie, to miała do przejścia około dwustu metrów najeżonych drutem kolczastym, poranych artylerią, a także pełną naturalnych pułapek jak zaspasy czy przewalone drzewa. Jeszcze dzisiaj rano mogłaby zbyć te niebezpieczeństwa jednym prychnięciem, a potem przebiec, przeskoczyć wszystkie zagrożenia. Wszak co to za sztuka dla młodej dziewczyny?

Ale dla niewidomego każdy krok stanowił ryzyko niczym krok w otchłań.

Do strachu i rezygnacji dołączyła odraza do samej siebie. Faktycznie, te wszystkie opowieści oślepionych weteranów, że czują się teraz niczym robaki pełzające po ziemi, okazały się prawdą. Była teraz tak samo bezradna, tak samo obrzydliwa! W głowie pojawiła się boleśnie przekonująca myśl, że nie powinna pozwolić się komuś uratować, gdyż wtedy skaże najbliższych na nieskończone opiekowanie się nią. Kaleką...

Była kaleką. To nawet brzmiało podle!

I wtedy doszły do niej kroki. Skuliła się, mając nadzieję, że jej nie znajdą. Nieznajomi zbliżali się i chyba rozmawiali między sobą, ale nie była do końca w stanie tego zidentyfikować. W uszach jej dzwoniło i nawet nie mogła powiedzieć, czy to ktoś mówi do

siebie, czy rozmawiają dwie osoby. Ponadto skrzypienie śniegu zakłócało słowa, toteż nie wiedziała, z kim ma do czynienia.

Potem jednak pomyślała, że w sumie to jest jej obojętne, kto to będzie. Jeśli swoi, to zostanie uratowana. A jak Sombryjczycy, to wtedy chociaż może dostanie szybką kulkę w tył głowy i uwolni się od męki, która czekała ją w życiu. Perspektywa życia po omacku wydała się nie do wytrzymania, toteż krzyknęła, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Chwila ciszy.

– Sweetie Belle?

Ten głos... jakby matka wołała swoje źrebię. Nigdy nie słyszała czegoś równie pocieszającego, jak to zawołanie. Strach i obrzydzenie do samej siebie wyparowało w ciągu sekundy, zastąpione przez nieograniczoną niczym radość.

Mógł ją znaleźć każdy, ale jakimś cudem trafiało na najserdeczniejszą dla niej istotę na ziemi. Czyżby Celestia próbowała się jakoś zrehabilitować?

– Piękna Luno! – rozległ się przerażony okrzyk i ktoś pogalopował do niej w trymiga.

– Apple Bloom? Gdzie? Gdzie jesteś? – spytała Sweetie Belle, kręcąc się w kółko. Kopnęła coś miękkiego i zimnego, co mogło być ciałem. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Sweetie Belle! Jesteś! Żyjesz! Nawet nie wiesz, jak się martwiłam!

Apple Bloom ścisnęła przyjaciółkę z całej siły, a z jej oczu trysnęły łzy. Objęła jej szyję swoją, zaplotła ich ogony ze sobą, a także przytuliła nogą. Potem zaczęła śmiać się histerycznie, coraz bardziej piskliwie, aż Sweetie Belle odkleiła się od niej przestraszona.

– Co ci jest? Apple Bloom! Co robisz? Nie widzę twojej twarzy...

Jednak klacz nie odpowiadała, wciąż zanosząc się obłędem. Dopiero po minucie uspokoiła się i powiedziała:

– Przepraszam... bardzo cię przepraszam... ja... – spojrzała na przyjaciółkę. – Tak się martwiłam o ciebie! Całe dwie godziny szukałam, nawoływałam. Sombryjczycy się wycofali, ale wy byliście na uboczu. Musiałam długo prosić podporucznika, by pozwolił mi tutaj przyjść cię poszukać, mamy straszne straty, wiesz...

Wystrzelała te wszystkie zdania na wydechu i teraz potrzebowała chwili dla odsapnięcia. Sweetie Belle wzruszyła ramionami. To, w którą stronę posunął się front, zupełnie jej teraz nie obchodziło.

Skoro i tak tego nie zobaczy.

– Chodź! Idziemy! Jesteś okropnie zakrwawiona. Znajdźmy sanitariusza! – Apple Bloom odwróciła się na kopycie i wymaszerowała z okopu, który tutaj się kończył. Sweetie Belle chciała ruszyć za nią, ale nie wiedziała gdzie. Powinna uświadomić przyjaciółkę, co się stało, ale to słowo nie mogły wydobyć się z gardła.

„Ośleplam!”

– Co z tobą? Idziesz?

– Ja... nie mogę – stwierdziła bezlitośnie Sweetie Belle. – Bo wiesz, nic nie widzę...

– Co, do kopyta? – spytała Apple Bloom, wracając do niej. Wtedy dopiero przyjrzała się jej oczom. Twarz farmerki wykrzywiła się boleśnie, jakby ktoś wbił jej miecz pod żebro.

Szok był równie bolesny, co taka rana.

– Czy ty...

– Tak! Nic nie widzę! OŚLEPŁAM! – wrzasnęła Sweetie Belle i rozryczała się po raz drugi. Apple Bloom chwilę stała niezdecydowana, a potem odruchowo zrobiła to, co jako jedyne mogło choć trochę pomóc przyjaciółce. Przytuliła ją najsilniej, jak potrafiła.

Śpiewaczka szlochała. Myślała, że już wypłakała wszystkie łzy, ale te nowe oczy w jakiś niewytłumaczalny sposób potrafiły wydobyć z siebie nieograniczone ilości wody.

W pewnym momencie powiedziała:

– Apple Bloom... Apple Bloom...

– Jestem przy tobie, kochanie. Czujesz mnie, prawda?

– Nie chcę być sama. Nigdy więcej nie chcę być sama!

– Nie będziesz, obiecuję.

– To było najgorsze, czego doznałam w życiu! Nie ból, nie rana, ale to, że byłam sama! W nicości. Bezradna i bezbronna. To uczucie... nigdy więcej! Nikomu tego nie życzę!

– Nie opuszczę cię już nigdy, Sweetie Belle. Przysięgam na mój znaczek.

– Zamieszkajmy razem, Apple Bloom. Zostańmy prawdziwymi siostrami. Na zawsze. Nie rozstańmy się już nigdy.

– Dobrze, kochanie. Nigdy ciebie nie opuszczę.

Chwilę jeszcze trwały uśpione w tej chwili, szukając we wzajemnej bliskości choć odrobiny ciepła dla ogrzania ich serc.

Kiedy stwierdziły, że czas już odnaleźć swoich, Apple Bloom wyjęła z kieszeni białą chusteczkę, która była zaskakująco czysta. Zastłoniła nią oczy przyjaciółki, która uśmiechnęła się delikatnie.

– Teraz jakoś mniej mnie bołą. Jak... one wyglądają teraz?

– Są takie bladoróżowe, a tęczówki troszkę ciemniejsze. Nie martw się! Pójdziemy do sanitariusza! Może oni będą mogli ci pomóc! Może nawet przywrócą wzrok! Fluttershy by potrafiła!

Ale Fluttershy jest jedna, a rannych setki, dopowiedziała sobie w myślach, zdawszy sobie sprawę z własnej naiwności.

Dodała głośno:

– Chwyć mój ogon w usta, poprowadzę cię do naszej linii.

Sweetie Belle posłusznie delikatnie ugryzła samą końcówkę kity w kolorze truskawek i podążyła za nią. Teraz było o wiele raźniej iść, gdyż miała w sercu to ciepłe przeświadczenie, że ktoś omija dla niej pułapki i prowadzi bezpieczną drogą.

I ta pewność, że nigdy więcej nie zostanie sama. Już nigdy więcej!

*

6 stycznia 1272

Canterlot

– Zapewne pan się zastanawia, skąd to nagłe wezwanie, kapitanie.

Zawsze marzyła, aby tak komuś powiedzieć. Przeczytała owy zwrot w jakiejś powieści sensacyjnej, gdzie tajemniczy przedsiębiorca skryty w cieniu zebrał grupę bohaterów do swojej sali konferencyjnej i proponował im angaż. W dzisiejszych czasach nie miała zupełnie czasu na literaturę rozrywkową, a wszystkie powieści ustąpiły miejsca

meldunkom i rozporządzeniom. Dlatego próbowała to sobie odbić choćby w taki symboliczny sposób.

Digter von Marder, świeżo mianowany kapitan, dumnie noszący na szyi brązowe Słońce w Zenicie za obronę Manehattanu, zadął głowę, aby spojrzeć swojej protektorce w oczy. Celestia zreflektowała się i cofnęła o krok, aby szyja go nie rozbolała.

– Umieram z ciekawości, moja pani.

Znajdowali się w ogrodzie, w którym Rarity zaprojektowała nowe symbole państwowe. Na pamiątkę ustawiono obok obelisku tablicę, na której opisano tamto wydarzenie. Digterowi podskoczyło serce na myśl, że znajduje się w tak wyjątkowym miejscu, gdzie równie niesamowita klacz dokonała czegoś wielkiego. Aż musiał zmuszać się do uważnego słuchania monarchini.

Prószył bardzo lekki, właściwie symboliczny śnieżek kojarzący się raczej z nasionkami dmuchawca lub babim latem. Było stosunkowo ciepło, więc oba kucyki nie potrzebowały zimowych okryć, a Digter miał na sobie zwykły mundur pancerniacki, do którego przytroczył miecz.

– Pańska nowa nominacja wiąże się z obowiązkiem, którego nie będzie w żadnych dokumentach – powiedziała szczerze Celestia, nie chcąc go oszukiwać. – Innymi słowy, mam wobec pana nieco inne plany, niż wynikałoby to z samego przydziału.

Digterowi uszy stanęły dęba. Ogierek wyjął z kieszeni okrągłe okulary i postukał się w pierś w charakterystycznym dla siebie tiku nerwowym.

– Zapewne pan słyszał o reprezentantce Klejnotu Śmiechu, czyli Pinkie Pie. Jest mniej więcej w pana wieku, mieszka w Ponyville.

– Oczywiście, wasza wysokość. Nawet do Pferdenstadt docierają tak ważne nowiny jak działalność Klejnotów Harmonii. Słyszałem też, że aktualnie pani Pinkie Pie jest szkolona na majora.

Tym razem to Celestii podniosły się uszy. Takie dane nie powinny aż tak łatwo wyciekać.

– Zgadza się. Pinkie Pie będzie dowódcą 9. Pułku Pancernego, do którego otrzyma też pan przydział.

– Czy to oznacza, że będziemy walczyć wspólnie?

– Dokładnie. W jednym pojeździe.

Digterowi tym razem to ogon poszedł w ruch, co po chwili stłumił. Spojrzał nieco spode łba na Celestię z mieszaniną zachwytu i przerażenia, czym wprowadził ją w małe zakłopotanie.

– Wasza wysokość... to ogromny zaszczyt służyć tak blisko równie wybitnej figury. Szczególnie, że to osoba naprawdę wyjątkowa. Równocześnie jestem nieco zaskoczony, że będę w jednym pojeździe z majorem... to oznacza, że będę w pojeździe sztabowym pułkowym... a więc...

– Czy spodziewał się pan czegoś innego po nominacji na kapitana i przydziału w nowo utworzonej jednostce?

Zerknął w fiołkowe oczy i zawstydził się. Faktycznie, awans oznaczał nowe obowiązki, co go nieco przerażyło. Szczególnie, że to wszystko wiązało się z prestiżową jednostką, która miała uzyskać status elitarnej i zostać wysłana na szczególnie trudny front arktyczny.

– Ma pani rację. Nie mogłem spodziewać się czegoś innego.

– Jednak słusznie pan przejmuje się nową rolą, gdyż będzie ona dość trudna. Chcę to przed panem wyjawic wprost, gdyż uważam, że dzięki tej świadomości uzyska pan sukces. Otóż major Pinkie Pie... nie będzie w stanie wykonywać w pełni swoich obowiązków dowódcy pułku.

Znowu go trochę poraziło. Noga sama wędrowała do piersi, a ogon zaczynał szaleć. Bardziej męczyło go powstrzymywanie swoich odruchów, niż same odruchy.

– Wynika to z jej charakteru. Niestety, ale ten skutecznie uniemożliwi jest stanie się odpowiednim dowódcą jednostki, a także nie starczy czasu, aby nauczyć ją wszystkiego, co powinien posiadać major. Nie ma też odpowiedniego doświadczenia. Dlatego będzie pełniła rolę figurantki.

Pokiwał głową. Słyszał, że Pinkie Pie jest raczej nieobliczalna i operuje na zupełnie innym poziomie mentalnym, niż przeciętny kucyk.

– Dlatego chciałabym pana ostrzec, że tak naprawdę, to ciężar prowadzenia całego pułku spocznie na pańskich barkach. Dlatego już teraz chciałabym panu zasugerować, aby pan dokształcał się w sferze nie tyle prowadzenia batalionu i asystowaniu dowódcy pułku, ale przede wszystkim w sferze dowodzenia pułkiem.

To jedna z tych sugestii księżniczki, która była tak naprawdę inaczej nazwanym rozkazem. Dlatego nie pozostawało nic innego, jak przyjąć to do wiadomości i zaakceptować.

– Jestem pewna, że zdaje pan sobie sprawę z roli broni pancernej w strukturach dywizyjnych. Wszak pański szlak bojowy od Manehattanu po Baltimore zapewne przyniósł dość doświadczenia, abym mogła ze spokojnym sercem powierzyć właśnie panu to zadanie. Jednak tamten front, według szacunków generała broni Depicted Picture, będzie jeszcze intensywniej szukał rozstrzygnięcia właśnie w działaniach broni pancernej. Czołgi odegrają tam o wiele znacznie większą rolę, niż było to pod Manehattanem lub Fillydelphią. Dlatego też dywizja zostanie uzbrojona przede wszystkim w środki przeznaczone do walki z bronią pancerną, a także nowoczesne czołgi.

Digter dobrze wiedział, że skoro go wcześniej przestraszyła, to teraz będzie próbowała załagodzić sytuację. Nie miał nic przeciwko, szczególnie, że znalazła walutę, którą dało się go przekupić. Jednak to nie wystarczało.

– Czy mógłbym zadać dwa pytania, wasza miłość?

– Ależ proszę, jestem to panu winna.

– Jaką dokładnie rolę będzie miała major Pinkie Pie?

– Przede wszystkim jako celebrytka i osoba naturalnie przystosowana do podwyższania morale swoją osobą będzie gwarantowała najwyższe morale z możliwych. To może okazać się kluczowe w tak trudnym froncie, odseparowanym od litego Maremachtu. Jest też druga kwestia, ściśle tajna, o której nie mogę panu powiedzieć.

Czyli chodzi o Klejnoty Harmonii – domyślił się ogierek.

– Rozumiem. To teraz drugie pytanie... dlaczego właściwie ja? Wiem, że moje pytanie mogłoby zostać potraktowane jako powątpiewanie we własną jakość, a to źle widziane u oficera. Jednak wiem, że ktoś tak wyjątkowy jak księżniczka dnia nie operuje takimi przyziemnymi skojarzeniami.

Chciał ją podejść. Celestia zamiast jednak skupić się na tym quasichwycie zastanowiła się jeszcze raz, czemu właściwie poleciła najmłodszego z von Marderów. Owszem, generał Spearstar bardzo chwalił swojego adiutanta, ale w całej armii nie brakowało uzdolnionych oficerów, którzy zahartowali się w ogniu trudnej obrony wybrzeża.

Spojrzała na niego jeszcze raz i przypomniała sobie, jak bardzo Digter przypominał swego dalekiego przodka, Rotherza. Tamten wojownik też był bardzo drobny ciałem i przede wszystkim walczył nie tylko mieczem, ale i słowem. Wspierał swego pana dobrą radą, a także spotkał się z nią kilka razy. Wyniosła z tamtych okazji bardzo wiele inspiracji do rządzenia państwem, wiele się od niego nauczyła.

Ogólnie, bardzo miło wspominała te spotkania i osobę małego rycerza.

Czy przekładało się to na sympatię do Digtera? Na pewno. Dostrzegała w nim pewien potencjał, który zauważyła już tamtej pamiętnej chwili, kiedy przeczytał jej swój wiersz. Mając za sobą tysiąc lat doświadczenia potrafiła w kucykach dostrzegać nie tylko ich przydatność konwencjonalną, na przykład umiejętności czy odwagę, ale też jak mocno mogą wpłynąć na bieg wypadków, na przeznaczenie. O ile przez całe swe nienaturalnie długie życie nie rozstrzygnęła jednoznacznie zagadnienia istnienia lub nie właśnie losu czy przeznaczenia, to wiedziała, że coś jest na rzeczy i niektóre kucyki potrafiły wywierać na to presję. Właśnie kimś takim jawił jej się mały rycerz tysiąc lat temu, tak jak jego prapraprawnuk.

Chyba nawet wyglądali identycznie, choć Digter był wyższy, gdyż kucyki ogólnie urosły jako gatunek.

Patrzyła na niego i dostrzegała jego mikre rozmiary, jakże wydawał się przy niej kruchy. Choć sama cechowała się szczupłą, eteryczną budową, on był jak porcelana przy szkłe. Chyba miała kopyta szersze od jego tułowia, a róg dłuższy od korpusu. I ona wysyłała tego malucha na najgorszy front, jaki widziała Equestria? W miejsce, gdzie dużo cięższe jednorożce będą chorowały i zapewne umierały z zimna? Ile on tam wytrzyma? Tydzień? Miesiąc?

Oszalała, albo zbyt bezkrytycznie wierzyła własnym przeczuciom, co też w sumie niektórzy porównaliby z obłędem. Jednak trudne decyzje są od tego, aby je podejmować.

– Panie kapitanie, wybrałam pana z pewnych powodów, które może być ciężko zrozumieć kucykowi, który nie widział tyle co ja. Ufam, że nie tylko pana kompetencje czy pochodzenia dają doskonałe podłoże, ale też coś, co nazwałabym umiejętnością wpływania na przeznaczenia. Mam swoje przeczucie, że to właśnie pan jest idealną osobą i będzie istotnym ogniwem łańcucha, która utrzyma Kryształowe Imperium przy Equestrii. Dlatego zawsze, jeśli będzie pan wątpił w swoje przeznaczenie i rolę, to proszę sobie przypomnieć o mojej decyzji. Że wybrała pana sama Pani Dnia i to ona uznała za najlepszego.

Zarumienił się i zasalutował najbardziej szarmancko, jak umiał. Zachichotała widząc taką pantomimę, więc aby mu oszczędzić prób wyglądania dostojnie, po prostu podała mu kopyto do pocałowania. Uczynił to z nabożnością.

– Dziękuję, księżniczko. To największy zaszczyt, jaki mógł spotkać Pferdenstadt!

To też w sumie warto było przyznać. Nadanie takiej prestiżowej roli synowi bardzo pomocnej prowincji również było bardzo istotne w utrzymywaniu politycznej sympatii wielu istotnych stronnictw. Tego mu jednak nie powiedziała.

Tamta rozmowa miała miejsce w styczniu 1271 roku, dokładnie dwanaście księżycy temu. Zapisała ją sobie na wszelki wypadek w formie dość dosłownego wspomnienia, które mogła odtworzyć za pomocą odpowiedniego artefaktu, jakim w tym wypadku była książka. Kiedy tylko ją otworzyła, to przed jej oczami ujawniła się cała sytuacja sprzed roku, to ponownie zadała sobie pytanie: kiedy w końcu jej przeczucie się wypełni i faktycznie któraś z

wyjątkowych osób, od Digtera von Mardera po powierniczki Harmonii, w widoczny sposób wywrą ten wpływ na przeznaczenie? Innymi słowy, kiedy w końcu sytuacja jakoś wyraźniej się polepszy? Lub po prostu rozwiąże?

Sama z Depicted Picture szykowała się, aby pomóc oblężonemu miastu, ale obawiała się, że nie zdąży. Operacja „Wiosenne Przebudzenie” była takim księżycowym życzeniem, które wypowiada się do srebrnego globu w pełni.

*

6 stycznia 1272
Kryształowe Imperium

– Już jesteśmy, jeszcze tylko kilka kroków! – wydyszała Apple Bloom. – Tu gdzieś są nasze czołgi!

– Stać! Kto wy?! – wrzasnął wartownik, który pojawił się znikąd za ich plecami. Apple Bloom w duchu pogratulowała mu dyskrecji. W ogóle nie słyszała, jak się za nimi skradął. Zgodnie z procedurą nie ruszała się i nie patrząc na niego, odkrzyknęła:

– Apple Bloom ze sztabu dywizyjnego! – rzuciła, mając nadzieję, że strażnik zrozumie. – Prowadzę ciężko rannego!

Strażnik obszedł ją dookoła, robiąc co dwa kroki króciutki przestój, aby móc wycelować. Śnieg był zbyt głęboki, aby ryzykować chodzenie na dwóch nogach i chcąc nie chcąc musiał kuśtykać aż na trzech, aby się przemieścić. W czwartej trzymał empika, którego lufa wciąż mierzyła raz między oczy Apple Bloom, a raz Sweetie Belle.

– Ona potrzebuje szybkiej pomocy! – zajęczała dziewczyna, a strażnik kiwnął głową i pokazał jej kierunek.

– Za tym wzgórzem. Znikać, tutaj wciąż padają strzały!

Apple Bloom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Pociągnęła ogonem dając znak, w którą stronę idą i szybko pokłusowały przed siebie. Śnieg był dość głęboki, aby wyrównać teren, ale nie aż tak utrudniający drogę, by zaistniała potrzeba przedzierania się.

Za osłoną wzgórza stały cztery potężne Tygrysy, a ich załogi szybko uwijały się przy włazach, pakując amunicję do środka. Przy dwóch ciężarówkach również był tłok, część kuców w białych uniformach zabierała puste łuski, a oddawała całe naboje.

Na pierwszym Tygrysie, usytuowanym jakby nieco wyżej, na samym szczycie wieżyczki stała smukła, błękitna klacz w czarnym, pancerniackim płaszczu i przez lornetkę obserwowała przedpole. Jej znaczek z czerwoną tarczą herbową w zieloną szachownicę nie pozostawiał wątpliwości, że to oficer arystokratycznego pochodzenia.

– Coście za jedne? – spytała sucho, kiedy ujrzała jak te podchodzą do czołgu. Apple Bloom ponownie wypluła ogon Sweetie Belle i kazała jej podejść pięć kroków do przodu, aby dotrzeć do pancerza czołgu. Dziewczyna nieśmiało to zrobiła i jęknęła, boleśnie zderzywszy się z pojazdem. Pomimo tego aż podrygiwała z radości. Oto nareszcie coś dobrego! Coś bezpiecznego i znanego! Czuła, że jest otoczona przez przyjaciół, którzy nie dadzą jej ponownie zabłądzić w tej przerażającej nicości.

Nie jest sama. To najważniejsze. Dookoła słyszała mnóstwo głosów w znanym sobie języku. Jeszcze tak nie cieszyła się ze zwykłego, kucykowego gwaru!

– Co jej jest? – zdziwiła się oficer patrząc z góry i wytrzeszczając oczy na wielki uśmiech malujący się na twarzy oślepionej.

– Jest ranna, pani kapitan... – wydyszała jabłkowa klacz, nie chcąc zbyt głośno mówić o prawdziwej naturze problemu.

– Rarity! – krzyknęła oficer. – Macie miejsce w wozie? Wzięlibyście ranną.

Sweetie Belle zakłęła. Nie była gotowa na spotkanie z siostrą, w ogóle nie myślała, co jej powie.

Ale była całkowicie pewna jej reakcji.

Usłyszała skrzyknięcie śniegu pod kopytem, potem szybki oddech, a następnie wysoki, czysty sopran Rarity.

– Gdzie jest ten ranny? A tutaj... NA SŁODKĄ CELESTIĘ!

Ktoś rzucił się na nią i przycisnął do piersi tak mocno, że odebrał dech na dłuższą chwilę. Nie mogła nawet jęknąć, czując na swojej twarzy strugę czyichś łez.

Te perfumy jednak były znajome. I głos... a także potok żalu, wylewający się z ust.

– Co oni ci zroooobiiiiii?! Aaahahaha... Moja mała Sweetie Belleeeee! Nie wierzę! Nie wierzęeeeeeee!

– Ależ Rarity... – próbowała się wyrwać dziewczyna, ale nie widząc niczego nie wiedziała co robić. Powinna też się rozplakać, ale chyba już wyczerpała łzy na ramieniu Apple Bloom, a siostry była irytująca. Wstyd było to przyznać przed samą sobą, ale tak... irytująca! Reakcja starszej klaczy zupełnie jej nie pasowała i kiedy sama wolałaby raczej po cichu wrócić do sztabu, to będzie musiała teraz odpowiadać na milion paskudnych pytań, na które i tak albo nie zna odpowiedzi, albo znają je wszyscy. Nie widziała żadnej twarzy, ale już wyobrażała sobie te zakłopotane, na wpół zniesmaczone spojrzenia każdego. To było upokarzające!

– Nie wierzęeee! Nie pozwolę ci już nigdy zrobić krzywdy! Nie dam! Nie dopuszczę! Nic się nie bój, już nigdy ciebie nie puszcze na długość kopyta!

– Oj, daj mi oddychać! – zbuntowała się siostra i w końcu wyrwała. Opaskę miała całą mokną, więc ją zsunęła z siebie, aby wytrzeć o mundur.

Wtedy usłyszała zduszony krzyk Rarity, która o mało nie zemdląca.

– Co znowu? – prychnęła zdenerwowana tą sceną dziewczyna. Zapewne te jęki już zwróciły uwagę wszystkich dookoła i zrobiły z niej nie dość, że atrakcję tygodnia, to jeszcze pośmiewisko.

– Twoje oczy! Twoje oczy! ONE... SĄ BIAŁE!

– No zgadza się, bo ośleplam! – warknęła Sweetie Belle, coraz bardziej tym wszystkim wkurzona. Równocześnie było jej coraz bardziej wstyd, że odbiera swojej jedynej siostrze prawo do okazywania serca.

No i... tak szybko pogodziła się ze swoim kalectwem. To też była niepokojąca oznaka zubożenia emocjonalnego. Nic dobrego, nawet na wojnie.

– Nie martw się kochanie, nic złego cię więcej nie spotka! Ja do tego nie dopuszczę! Nie pozwolę ci odejść!

Rarity chciała przytulić ponownie Sweetie Belle, ale ta ją brutalnie odepchnęła. Starsza zaskoczona taką reakcją zamilkła.

– Dam sobie radę... – odpowiedziała Sweetie Belle ponownie naciągając na oczy opaskę, dzięki czemu trochę mniej ją bolały. – jestem już dorosła, Rarity! Weź to kiedyś w końcu dojrzyj!

– Ależ kochanie... – zaczęła siostra, ale nie dano jej dokończyć. Okaleczenie wykryształizowało w sopranistce pełną gamę skrajnych uczuć, które musiała z siebie wyzwolić.

Był już strach, potem żal.

Teraz przyszedł czas na gniew.

– Już dawno osiągnęłam pełnoletność i zdobyłam znaczek! Bez twojej pomocy! Teraz też dam sobie sama radę!

– Nie możesz tak mówić, ty ty... – zajęczała Rarity, a Sweetie Belle wykrzywiła się złośliwie.

– Oślepiam! Tak! Oślepiam! Powiedz to głośno, to zwykłe słowo. NO POWIEDZ TO CHOLERNE SŁOWO!

Rarity zagryzła zdenerwowana wargę. Obudziła się w niej starsza siostra.

– Sweetie Belle, skąd ten język? Te emocje są tutaj zbędne! Ja chcę tylko ci pomóc. Kocham ciebie i nie pozwolę, abyś... zginęła... marnie... Wróć do domu, teraz...

– NIE WRÓCĘ DO DOMU! – ryknęła Sweetie Belle machając z gniewu kopytem i uderzając silnie o kant pancerza, o którym zapomniała, że jest obok. Rozcięła sobie paskudnie skórę. Zignorowała to, pomimo obfitego krwawienia.

– Nie będziesz mi rozkazywała! Jestem już dorosła! Jestem sama władczynią swojego losu! Ja jedna i nikt inny!

– Echem... nie zgodzę się.

Wszyscy spojrzeli, a Sweetie Belle nadstawiła ucho na przeciwległy koniec frontu czołgu, zza którego wyszła Twilight, marszcząca brwi w srogi sposób. Apple Bloom stojąca najbliższej pani generał dostrzegła w jej oczach olbrzymi smutek, który rósł i rósł, grożąc powoli przerwaniem tamy i spowodowaniem prawdziwej katastrofy. Dziewczyna zadrżała na myśl, co to mogłoby być.

– Przykro mi Sweetie Belle, ale ja jako twój dowódca też mam pewien zakres władzy nad twoim losem. I przykro mi to mówić, ale Rarity ma rację. Twoje rany są zbyt poważne, abyś została.

– Ależ... Twilight... – jęknęła zdeorientowana dziewczyna. Z dowódczynią całego kryształowego frontu nie mogła się kłócić pomimo, że znały się osobiście tak blisko. I tak bezpośredni zwrot „na ty” zszokował wszystkich przysłuchujących się tej rozmowie. Twilight rzuciła im tylko jedno krytyczne spojrzenie, a wszyscy natychmiast wrócili do swojej roboty, czyli obserwacji przedpola i ładowania amunicji. Kilku mechaników grzebało też w układzie skrętnym jednego z Tygrysów, a ich pracę obserwował Digter.

Twilight chciałyby w tym momencie mieć na głowie też wyłącznie takie proste zadania. Trochę wiedzy, nieco więcej praktyki, tu nacisnąć, tu zakręcić i czołg naprawiony. To wszystko, a jak nie wyjdzie, to jedyną pokrzywdzoną osobą będzie bezduszną maszyną. Nie musiałyby tak jak teraz zupełnie tłumić w sobie pewnej rozpacz wywołanej widokiem okaleczonej młodszej siostry ukochanej przyjaciółki i udawać takiej poważnej i dojrzałej. Nie! Chciałyby też ją przytulić i nawet zapłakać nad okrutnym losem młodego jednorożca, ale nie wypadało tego robić na oczach wszystkich. Nawet jej, nawet „brykającemu generałowi”.

Równocześnie uzmysłowiła sobie, że tak naprawdę to zamykanie w sobie emocji nie kosztuje jej wcale wysiłku. Jakby naturalnie mogła całkowicie się od nich odróżnić. Czy to oznaczało, że jej dusza już umarła?

– Wiem, co czujesz i co chcesz powiedzieć – przerwała jej czarodziejka, podchodząc bliżej. Chciała przytulić swoją przyjaciółkę i pocieszyć, ale obawiała się, że osoba niewidoma jak nikt inny wyczuje zimno mrozące jej pierś od wewnątrz. – Jednak co na froncie po niewidomym żołnierzu? Pomyśl o tym, że będziesz miała kłopoty i będąc brutalnie szczerym, robiła kłopoty innym.

– Wiem, Twilight... – westchnęła dziewczyna odwracając się od niej i szukając zapachu perfum Rarity. Ten spokojny głos przywrócił jej równowagę i zrobiło jej się niewymownie przykro, że tak nakrzyczała na swoją ukochaną siostrę. – Ja was przepraszam za to wszystko, ale sama już nie wiem co mam robić.

– Och moje kochanie... – Rarity w końcu dała radę ją objąć. – nie przejmuj się! Po takiej tragedii...

– Ja już się z tym pogodziłam. – przerwała jej zimno Sweetie Belle. – Jestem teraz jakaś taka... zobojętniała na to wszystko. W domu będę się tak nudzić!

Pomimo, że nie mogła tego zobaczyć, to poczuła, jak Twilight obok się wzdrygnęła.

– Zobojętniała? – spytała czarodziejka i zamruczała, jakby zastanawiając się nad czymś. – Może w sztabie znajdzie się dla ciebie miejsce... – machnęła kopytem i wydała rozkaz. – Za mną, do samochodu!

– Ależ Twilight! – jęknęła Rarity – Chcesz zezwolić na to szaleństwo? Ona przecież zasługuje na odpoczynek w domu!

– Chyba wieczny odpoczynek... – sarknęła Sweetie Belle, a Rarity aż zapowietrzyła się na myśl o tym.

Czarodziejka odwróciła się i spojrzała spod ciężkich powiek na białą przyjaciółkę.

– Pozwolę jej. Kiedyś mi za to podziękujesz. Uwierz mi proszę...

Rarity chciała zaprotestować, ale uświadomiła sobie, że od Twilight i jej decyzji zależy los ich wszystkich. Ufała każdemu rozkazowi, jaki wydawała fioletowa klacz, rozkazom które określały życie i śmierć setek kucyków naraz. Dlaczego miałyby nie zaufać teraz, kiedy chodzi o zaledwie jedną osobę?

Nawet, jeśli to ktoś tak bliski.

Za Tygrysami stał opancerzony transporter radiowy, Sd.kfz 251/6, nazwany „Griffon”. Półgąsienicowy napęd jak nic innego sprawdzał się na śniegu, wysokie burty tworzące prostokąt i ramowa antena z poprzecznym kabłąkiem na górze nadawały mu wygląd zdecydowanie wyjątkowy. Wchodziło się od tyłu, przez wpuszczone w tylni pancerz dwuczęściowe drzwi, na których namalowano słońce, fioletową gwiazdę oraz stylizowaną, kwadratową chorągiewkę – oznakę wozu sztabowego dowódcy dywizji.

W środku było strasznie ciasno, gdyż całą przestrzeń zapełniała ogromna radiostacja, porozrzucane mapy i papiery, a także tłoczyło się trzech oficerów w obcisłych, białych mundurach, idealnie zlewających się z maskowaniem pojazdu. Widząc nadchodzącą Twilight, dwóch z nich wcisnęło się głębiej do transportera, zajmując miejsca kierowcy i pilota. Trzeci oficer został przy radiu i nasłuchiwał. Apple Bloom wprowadziła przyjaciółkę do środka i wskazała miejsce na skórzanym, zamontowanym na stałe krzeselku, naprzeciwko radia i stelaża na trzy Mausery i jedno MP40. Pancerz dachu obejmował tylko stanowisko kierowcy i obok, a radiostacja wraz z anteną były pod gołym niebem. Z przodu, na tym krótkim dachu, za kanciastą tarczą kołysał się MG42 wraz z długą do ziemi taśmą. Rarity machając do nich westchnęła mając nadzieję, że nie będą musieli tego używać.

Ogier przy radiostacji ścisnął się przy burcie, ale mimo to i tak było potwornie niekomfortowo. Tylko Sweetie Belle miała miejsce siedzące, co nieco zaskoczyło załogę pojazdu. Generał Twilight odstępuje swoje własne krzesło?

Niezwykłe...

– Wracamy! – zakomenderowała krótko czarodziejka i przewiesiwszy kopyta przez burtę popatrzyła za oddalającymi się powoli czterema masywnymi sylwetkami czołgów.

Kiedy zobaczy je w nieco innej roli? Jako cztery bezużyteczne wraki?

Złapała się na tym, że podobne refleksje nie odstępują jej już na krok. Nie potrafiła się od nich uwolnić, a wiedziała, że każda taka myśl to kolejna kropla goryczy zalewająca ją powoli i odbierająca dech.

W dodatku miała wrażenie, że się na to godzi, a nawet dobrowolnie poddaje temu procesowi. Czyżby go lubiła?

To irracjonalne!

Ale... co jest rozsądnego w wojnie?

*

10 stycznia 1272
Stalliongrad

Zmiana nazwy Manehattanu na „Stalliongrad” była podyktowana koniecznością połączenia ze sobą tradycji i nowego porządku. Dlatego zdecydowano się na zmieszanie obu języków, aby z jednej strony wszyscy zapomnieli o przeszłości, ale równocześnie nie sposób było całkowicie się odciąć, gdyż sami sombryjscy urzędnicy się mylili. Politycznie też dobrym ruchem było jakoś ustąpić miejscowym kolaborującym grupom, co pozwalało nieco uspokoić buntownicze nastroje Equestriańczyków.

Obserwując pakowanie swoich rzeczy zastanawiał się, jaką nazwę wymyślić dla Kryształowego Imperium. W nowym języku, czy starym? Mającą jakiegokolwiek nawiązania, czy zupełnie świeżą?

Właśnie dwa jednorożce zaczęły przygotowywać fortepian do przeprowadzki. Ten widok przypomniał mu jego niewolnicę. Może w ramach nagrody jej pozwoli coś wymyślić?

Raporty jednoznacznie wskazywały, że powoli zbliżało się rozstrzygnięcie na kryształowym froncie, ale czas kończył się szybciej, niż miało ono nadjeść. Dlatego podjął decyzję o osobistej interwencji, która miała pomóc w przełamaniu magicznego oporu i podwyższyć morale, na które narzekał White Fire. Było to duże ryzyko, aby tak bardzo zbliżyć się do linii frontu, ale miało to pozwolić zadać silny cios, którego tam potrzebowali.

Jednak nie mógł ukryć, nawet przed samym sobą, że spotkanie z Twilight Sparkle byłoby niebezpieczne. Musiał uznać, że stanowiła dla niego pewne zagrożenie.

Równocześnie spotkanie się z nią mogłoby zostać uznane za kilka minut strachu, które zakończyłyby się eliminacją najsilniejszej figury na szachownicy Celestii. Bez niej w Equestrii już nikt stawiałby mu magicznego oporu aż do samego Canterlotu, gdzie czekałyby tylko rozdygotane i pogrążone w żałobie alicornie kobyły.

Brzmiało jak dobry interes.

*

10 stycznia 1272
Las pod Fillydelphią

Dzika Armia musiała dbać o renomę i po raz kolejny dała dowód, że siły okupacyjne miały czego się obawiać stacjonując na zakazanych terenach. Przypadkowo schwytany w lesie czerwonoarmista został brutalnie i ciasno związany, a potem ciągnięty po ziemi za czterema silnymi ogierami. Jeśli jego ciało zahaczyło o jakąś przeszkodę jak korzeń, to

napierali tak długo, aż przeszkoda ustąpiła, nie bacząc na rany, które zadawali jeńcowi. Dowodzący nimi major Hedgehog wychodził z założenia, że każdy Sombryjczyk to potencjalny oprawca z NKWD, więc nie było po co się z nim cackać.

Las przechodził tutaj w rzadką brzezinę, dającą kiepską osłonę. Major nie lubił tych drzew, gdyż kojarzyły się z palikami, które wycinano na groby jednoroźców, aby umieścić na nich urnę z prochami. Tutaj zresztą też śmierdziało trupem, więc w sumie dobrze, że akurat zboczyli z trasy patrolu. Zmierzali ku Fillydelphii, aby dokonać ostatecznych rekonesansów przed rozpoczęciem kolejnej fazy operacji „F”. Skoro okolica była taka ponura i w dodatku pilnowana przez samotnego wartownika, który pechowo odlewał się w niesprzyjającym dla siebie momencie, to znaczyło, że warto było pomyszkować.

Babs Seed została niedawno starszym sierżantem, ale mimo to nie czuła się wcale dowódcą. Raczej używała swego stopnia wyłącznie do hamowania okrucieństwa niektórych szeregowców. Nie mogła im się dziwić, byli to głównie wieśniacy, na których oczach mordowano ich rodziny, gwałcono żony lub córki, a także palono zagrody. Teoretycznie mieli wszelkie prawa moralne do krwawej zemsty. Babs jednak dobrze pamiętała wszystkie nauki, jakie wyniosła z cukierkowego Ponyville. Pamiętała też o małej, poszarpanej dziś pelerynce, którą nosiła na dnie juków. Nie mogła się doczekać, aż ujrzy pozostałe trzy istniejące pelerynki z brykającym żrebakiem.

Nagle siwobrody jednorożec, kapitan Uhu, padł na ziemię i zaczął dygotać jak rażony padaczką. Coś bełkotał, a z chrap wytoczyła się piana. Natychmiast podskoczyła do niego sanitariuszka, lecz ten zaskakująco przytomnym gestem ją odsunął, a po chwili dał radę się podnieść. Błędnym, płonącym wzrokiem spojrzał na dowódcę i powiedział eterycznie jak w teatrze:

– Zemsta! Chcą zemsty! Tutaj spoczywa gigantyczny gniew! Wielki niczym miasto, gorejący wulkan! Krzywda! Krzywda i śmierć!

Uhu był magiem starej szkoły, więc nierzadko zdarzało mu się mówić zagadkami i frazesami pochodnymi z dawnych, patetycznych manuskryptów, więc nikogo nie dziwiła taka retoryka. Jednak przejście wyczuwalne w głosie nie pozwalało zignorować pasji.

– Co się dzieje? – spytał swym chrapliwym basem Hedgehog. Niegolona od lat broda z nerwów mu falowała i błyszczała siwizną. Przyjaciół popatrzył mu prosto w oczy, złapał za barki i powiedział głośno, przyciskając nos do nosa:

– Oni chcą zemsty! Tutaj! Tysiące! Tysiące!

– Kto, ki darkstallion?

– Szukajcie! Szukajcie osobliwości! To musi być blisko!

Major odszedł na bok, a potem zdjął knebel z chrap jeńca.

– Czego pilnowałeś? – spytał z doskonałym, sombryjskim akcentem. Przerażony żołdat pokręcił głową.

– Ja nie znaju... kazali, tom pilnował...

– Trzasnąć go? – spytał jakiś usłużny szeregowiec, ale major machnął ogonem.

– Nie, on nic nie wie. Ale zostawcie go na razie. Może potem mu się coś przypomni, jak go przypieczemy nad ogniskiem. Pluton! Szukajcie osobliwości, jak powiedział kapitan Uhu!

Rozeszli się po polanie i zaczęli opukiwać drzewa, obwąchiwać krzaki i patrzeć pod niskie gałęzie. Las jak las, choć faktycznie w powietrzu unosiła się ciężka atmosfera. Śpiewały ptaki i korony szumiały, lecz była w tym zaszyfrowana groza.

– Hej, mam coś! – powiedział ktoś. Przybiegli do niego, a on wskazał na ściółkę przed sobą.

– Co jest? Nic nie widać!

– Proszę spojrzeć tutaj, panie majorze! Trawa ma inny kolor! Wzdłuż tej linii! Tu jest kąt prosty!

Istotnie, jak się dobrze spojrzało, to można było dostrzec, że zimowa, zgniła trawa ma inny kolor w jednym miejscu, które kończy się dziwnie nienaturalnie regularnie. Ogólnie obszar zdawał się mieć kształt długiego prostokąta. Kiedy w końcu wszyscy zapoznali się z fenomenem, poznali, że cały las dookoła był pełen podobnych obiektów. Żalowali, że nie było wśród nich archeologa, który potrafiłby zinterpretować ten cud. Nie pozostawało nic innego, jak to kopnąć.

– To mogą być ślady jakichś zasypanych dołów, choć zupełnie nie mam pojęcia jak starych... – stwierdził Hedgehog. – Mogą mieć rok, a może jeszcze Celestia zakopywała tutaj swoich przeciwników politycznych z czasów, kiedy Equestria kształtowała własne granice.

– A jeśli tutaj jest bomba? Nie mamy saperów! – spytał ktoś trwożnie.

– Strzelec Deer! Nie pieprzyć, tylko dalej pilnować okolicy. Nie chcemy, aby nas teraz zaszli jak w latrynie!

Podzielili się na trzy trzyosobowe zespoły i dzięki saperkom żwawo zaczęli wkopywać się długi prostokąt. Gleba była na pewno miejscowa, tak powiedział jeden kapral, który ponoć się znał. Musieli mu zaufać, gdyż nie mieli jak tego zweryfikować.

W końcu ktoś wbił sztych w coś, co było twardsze, ale od razu ustąpiło pod naciskiem ostrza. Rozległo się plaśnięcie, jakby pękła skorupa zgniłego orzecha.

– Ostrożnie miało być! – syknęła Babs i podeszła do niego. – Odsuń się! Co żeś znalazł?

Pochyliła się nad przysypanym przez nieuważny ruch obiektem i odgarnęła go ogonem.

Znalazca podskoczył zszokowany.

– Luno, to czaszka! To czaszka!

– Cichaj! – skarciła go ponownie. Nie było wątpliwości, że miała pod sobą połamany czerep z resztkami czegoś, co mogło być skórą. Zatem ciało znalazło się tutaj nie w jakiejś prehistorycznej przeszłości, ale w bardziej namacalnych czasach.

– Odsłońcie tego nieszczęśnika – rozkazał major. – Zobaczmy, czy to ofiara czerwonej zarazy, czy jakiś przypadkowy trup.

W głowie widniała mała dziurka, którą szybko namierzili. Lecz kiedy dotarli do tułowia, to znowu prace stanęły. Znaleźli mundur w kolorze feldgrau, na którego patkach jaśniała jeszcze biel piechoty. Pagony pozostawały puste.

Patrzyli przez dłuższą chwilę, szukając sensu. Skąd tutaj maremachowski żołnierz? Przecież tak głęboko nie chowano poległych, a poza tym tutaj nie toczyły się walki, o czym każdy wiedział.

– Hej, on ma coś tutaj! – powiedziała Babs i wyciągnęła z prującej się w ustach kieszeni małą książeczkę wojskową. Otworzyli drżącymi kopytami pierwszą stronę i aż podskoczyli.

– Luno!

– Nie, niemożliwe!

– Na serce Cadance!

– O, kurwa!

Żołnierz należał do trzeciej dywizji piechoty, której los pozostawał nieznany od początku wojny. Ostatni raz ją widziano w Manehattanie, dzień przed inwazją. Potem jednostką zniknęła wraz z kapitulacją.

Hedgehogowi serce zabiło szybciej. Stał dęba i rozejrzał dookoła. Wszędzie były dziesiątki, o ile nie setki takich obiektów, w których... mogły być... ciała.

A jeśli to nie jest jedyny las?

– Uhu! – powiedział, próbując się opanować. – Mówiłeś coś o zemście! Co poczułeś! Mów konkretniej!

Przyciśnięty do muru jednorożec chwilę pokręcił się wokół własnej osi, a potem przysiadł na zadzie. Rozmawiał z drugim jednorożcem, więc nie mógł mu wciskać byle czego i chyba wychodziło na to, że potrzebował szczerości.

– Wiem, o co będziesz chciał mnie poprosić, jak ci to wszystko wyjawię...

– Skoro wiesz, to nie przeciągaj struny!

Starzec zaczął mówić, a z każdym kolejnym zdaniem głos mu się podwyższał i stawał jeszcze bardziej sztuczny:

– Kiedy popełni się wielką zbrodnię, odciska ona swoje piętno na ziemi, w którą wsiąka krew ofiary. Tutaj jednak dokonano kolosalnie złego czynu, czegoś, co wywołało jawny sprzeciw słońca i księżyca, które zapłakały widząc, co wyczynia się z ich dziećmi! Te drzewa pamiętają wszystko! Ziemia też zna kształt kopyta! Tutaj dokonano gwałtu nieznanego w naszej historii, więc nawet wy możecie wyczuć odór zemsty, który bije z głębin grobu, który naruszyliśmy. Grobu, grobów, mogił tych wszystkich synów i córek słońca i księżyca! My brodzimy teraz w koszmarze, a za chwilę damy nura w głębinę kucykowego okrucieństwa! Zemsta! Pragną zemsty tak bardzo, że nam mogą ją pokazać!

Hedgehog cofnął się o krok. Wraz z wychowaniem bezwzględnie wybito mu z głowy wiarę we wszelkie nekromanckie historie, więc słowa Uhu wydały mu się skrajnie niemożliwe do uwierzenia.

– Ale... duchów nie ma! Jeśli kogoś zabito, to jest trupem i już!

– Ich dusze, o ile one istnieją, są teraz w miejscu, którego kucykowy umysł nie zna i nie rozumie! Ale krew wsiąkając w glebę, ciała rozkładane przez robaki, one wciąż tu są! I w nich zapisano skargę! A skarga wypływa z kolającej serce pamięci! Wiem, o co mnie zaraz poprosisz... usiądźcie wokół mnie!

Wykonali rozkaz i położyli się dookoła podłużnego grobu. Uhu przykląkł przy samej dziurze, z której wydobywał się smród na wpół rozłożonego ciała. Zamknął oczy i aktywował róg, z którego zaczął snuć się szaroczarowy dym. Owijał się wokół szyi wszystkich tych, którzy nie znajdowali się akurat na warcie. Babs z niepewnością wodziła wzrokiem za nieprzyjemną dla oka strużką.

– Potrzebuję waszej siły! Witalności, która czyni młode ciało silnym i giętkim! Ja daję wiedzę, wybiorę drogę, którą udamy się, aby wniknąć w mogiłę, aby odczytać szept czaszek. Wy musicie mnie tam zanieść! To zła magia i zakazana, lecz sądzę, że ku większemu dobru możemy naruszyć te kilka zasad, które ustanowiono jeszcze kiedy nikt nie słyszał o Lunie i Celestii, a jednorożce stawiały pierwsze kroki w wykorzystaniu mocy, które w nich drzemały. Pomyślcie o tym, że chcecie mi pomóc. Zapragnijcie tego! TERAŻ!

Otworzył oczy, które zaczęły dymić na szaro. Same białka zmieniły kolor na radioaktywnie zielony. Każdy z nich na chwilę również go przejął i tak w niewidzący sposób patrzyła na siebie dwudziestka kucyków, kiwając się na boki jak pijane. Dym wydobywający

się z rogu stał się czerwono-żółty i zacisnął się na ich szyjach. Wtedy padli bezwładnie na boki, a Uhu wylądował głową w grobie.

Nikt tego jednak nie poczuł. Świat zgasł, aby eksplodować wizją na nowo.

*

– Co to jest, do cholery?! – Spytał podporucznik patrząc na długi na dwadzieścia metrów dół o idealnie prostokątnym kształcie. Jego szerokość sięgała może najwyżej dwóch metrów, a każdy narożnik obstawiał enkawudzista z przeładowaną pepeszą. Na drzewach siedziało wiele pegazów, obserwujących jeńców z tej wysokości. Oficer pomyślał, że będą stąd wybierać piasek na budowę, ale czemu nie dano im żadnych narzędzi? Gołymi kopytami zajmie im to wieki i Sombra nie ujrzy odbudowanego portu do końca swojego przydługiego życia.

– Dajcie nam łopaty! – zakrzyknął jakiś szeregowiec, najwidoczniej myśląc o tym samym. Jednak nikt im nie odpowiedział, a czerwonoarmiści ustawili całe trzy tuziny jeńców naprzeciwko dziury, tak więc szereg patrzył prosto w dół głębokiego na metr wkopu. Podporucznik spodziewał się, że teraz usłyszy trzaśnięcie kopyta o zęby swoje lub szeregowca, ale nic takiego nie nastąpiło. To było prawdziwie niepokojące, niemal tak samo, jak zimne i nie wyrażające niczego oblicza Sombryjczyków. Co było grane? To oni mają w końcu to kopać, czy nie?

– Mogę już zacząć? – spytał stary major, potrząsając swoją długą, siwą brodą i wskazując na swój róg z zatkniętym kagańcem. – Mogę to magicznie przerzucić w trzy minuty, kiedyś pracowałem na budowie...

Jednorożec jednak nie doczekał się odpowiedzi. Podeszedł do niego jakiś czerwony oficer, stanął tuż za grzbietem, jakby chciał na niego skoczyć i go zgwałcić. Podporucznik zdrzął na myśl o tak okrutnej czynności. Chyba nawet Sombryjczycy nie byli tak zezwierzęceni, aby posunąć się podobnych tortur?

Nie... tego nie zrobili.

Enkawudzista wyjął z kabury pistolet, wymierzył i z odległości dwudziestu centymetrów wypalił w tył głowy starego majora. Huknęło, a w powietrze wzbila się krwawa mgielka. Ciało jednorożca spadło prosto do dołu i głucho palnęło w pryzmę ziemi.

Najgorsza była chłodna obojętność na twarzy kata. Bez czekania wymierzył w kolejnego Equestriańczyka i ponownie strzelił, a tym razem drobna klacz bez jęknięcia bólu wpadła do dołu.

I kolejna.

– Na Klejnoty Harmonii! – krzyknął jakiś młodzian o kanarkowej sierści i jednym susem przeskoczył nad dołem. Tam jednak sięgnęła go seria z pepeszy, rozrywając powietrze jak piła tarczowa.

Już przy pierwszym strzale cały szereg aż podskoczył, ale teraz wpadł w popłoch. Strażnicy otworzyli ogień do tych, którzy próbowali uciec, a oficerowie z pistoletami precyzyjnie dobijali tych, którzy uniknęli automatów. Podporucznik chciał wierzgnąć i kopnąć podchodzącego do niego Sombryjczyka, ale dostał kolbą w głowę, co na chwilę go zamroczyło. Potem tylko poczuł okrągłą rurę przyciskaną do jego ciemienia.

– CELESTIO! MIEJ NAS W OPIECE! – krzyknął ktoś i padł na kolana, jakby oddając hołd niewidzialnej monarchini. Krzyknął, kiedy bagniet przebił jego szyję. Przeżył to jakimś cudem i wpadł w drgawki, które zgasty dopiero po kilku chwilach od nadchodzącej śmierci.

Szeregowiec domagający się łopat rzucił się na najbliższego strażnika, chcąc wyrwać mu broń. Enkawudzista wykręcił się i kopniakiem odbił od siebie Equestriańczyka, a potem wypalił z bliska prosto w jego głowę, rozrywając ją na odłamki niczym arbuza.

Widząc bezcelowość oporu, pozostałe przy życiu kucyki biernie stanęły nad dołem i pochyliły głowy, czekając aż oficerowie zmienią magazynki i do nich podejść. Strzał po strzale, jeden kucyk osuwał się do dołu. Lecąc zamykali oczu i bezwładnie rozbijali się o zimną ziemię. Obrzydliwy plusk towarzyszył upadkom w kałuże, jednak po tysiącokroć gorszy był jęk agatowej klaczy, która nie wiedzieć czemu przeżyła postrzał. Oficer wymierzył w jej stronę pistolet, ale potem go podniósł, widząc słabnące i zastygające podrygiwanie jej ogona. Zamiast tego zastrzelił kolejnego szeregowca, który upadł tuż obok niej, zalewając jej rozwarłe na oścież oczy krwią. Szmaragdowe tęczówki stały się rubinowe razem z białkami, a klacz zadrżała z bólu, jednak nie poruszyła się. Nie poruszyła się nawet w chwili, kiedy po zabiciu ostatniego z szeregu, zaczęto zasypywać dziurę. Przy klekocie gąsienic spychacz zaczął zgarniać piach, przygniatając ją do ziemi i odbierając dech. Gruby płaszcz gleby przygwoździł delikatne ciało na płask, zagłuszając ciche łkanie, dobywające się z jej gardła. Kiedy zakrwawione oczy zasypał piach, odcinając ją od słońca, nie dawała już żadnych znaków życia.

Poza podrygiwaniem ogona, którego końcówka jeszcze przez chwilę wystawała z gleby, nim, spychacz nie wjechał na niego.

Z kolejnej ciężarówki wyprowadzono pierwszego jeńca. Cały las dookoła rozbrzmiewał hukami i stukami strzałów, toteż teraz już nikt nie miał wątpliwości, że dzieje się coś złego. W dodatku kiedy pierwszy z brzegu, młody, lawendowy szeregowiec o granatowej grzywie, ujrzał zasypywany przez maszynę wkop, od razu domyślił się wszystkiego. Strach przeszył jego serce strzałą, co było równie bolesne, co kula.

– Nie... NIE! NIEEEE! – rozwrzeszczał się i wtedy zarobił cios kolbą w oko, które pękło i zaczęło się sączyć z oczodołu. Ogier padł na kolana, by otoczyć go jasnozielony nimb magii. Ktoś przeniósł go na brzeg następnego dołu i wtedy padł strzał, przerywający cierpienia młodego żołnierza. Wpadł jako pierwszy do znacznie głębszego otworu i od razu znieruchomiał. Na nim wylądował kolejny szeregowiec i kolejny, tym razem płci żeńskiej. Po niej jeszcze sześć kolejnych trupów było kobietami, wszystkie jakimś ponurym zbiegiem okoliczności reprezentowały inny z kolorów tęczy. Kiedy stos ciał stał się zbyt wysoki, skazańców ustawiono metr obok. Tak w jednym dole zmieściło się aż siedemdziesiąt ofiar.

Za kępą drzew obok stał inny kat, z długim mieczem katowskim, o ostrym brzeszczocie i prostokątnym, tępym sztychu. Podprowadzono do niego jeńca, ten podnosił miecz w górę, a następnie błyskawicznie opuszczał go na szyję ofiary. Głowa lądowała pierwsza w dole, a potem strażnicy dorzucali do niej ciało.

Właśnie przyprowadzono do niego starszawą klacz z błękitnymi patkami artylerii przeciwlotniczej. Była kapitanem, a także posiadała żółtą odznakę za rany, zapewne otrzymaną jako jedna z pierwszych w tej wojnie. Kat spojrzał na nią bezpłciowo, a potem

uniósł miecz. Klacz prychnęła, z chrap wydobyła się chmura pary, a kobieta odezwała się stalowym tonem:

– Nie dacie rady. Żaden łobuz, nawet Sombra nie pokona księżniczki Celestii! Nik...

Otrze przecięło jej gardło, nie pozwalając dokończyć zdania. Kat nawet nie spojrzał na odpadającą głowę i walący się na ziemię korpus, tylko skupił na kolejnym doprowadzanym więźniu. Dwaj strażnicy sprawnie złapali upadające ciało i nim dotknęło ziemi, już wrzucali je do dołu.

Któryś z kolei ogier, pod względem umaszczenia i szczupłego ciała wyglądający nieco jak męska wersja Celestii, wyrwał się z taką siłą, że w końcu udało mu się uwolnić od ramienia Sombryjczyka. Przyfasolił oprawcy w zęby i zębami chwycił jego pepeszę. Podniósł ją i chciał nacisnąć spust, ale kat uniósł go magicznie i rzucił nim o ziemię z taką siłą, że mężczyźnie pękł kręgosłup. Jak kupka szmat zwiotczał na trawie i tylko gorączkowo mrugające oczy świadczyły, że jeszcze żył. Nie mógł nawet oddychać, gdyż rdzeń kręgowy pękł na wysokości kręgu szczytowego, odbierając mu jakąkolwiek władzę nad ciałem od czaszki w dół. Kat uniósł go ponownie i wrzucił do dołu bez dobijania, pozwalając mu umrzeć przez uduszenie.

Klacz, która szła tuż za nim, płakała, zalewając swój mundur potokiem łez. Pochyliła się, odsłaniając szyję spod grzywy. Kiedy ostrze rozcięło jej ciało, głowa jeszcze przez chwilę żyła i dalej toczyła łyż, nawet leżąc na stosie innych czerepów i ciał. Przygniecioną przez własny korpus po raz ostatni widziała niebo. Potem była tylko ciemność.

Kolejny w szeregu stał młodzian mający nie więcej, niż szesnaście lat. Jego znaczkiem była biała róża oraz niebieski bratek. Wielkimi, zszokowanymi oczami spojrzał prosto w oczy kata, próbując go przebłagać.

– Proszę... – szepnął mokrym ze strachu głosem.

Strzał.

Koło innego dołu, gdzie stali oficerowie z pistoletami, jakiś pułkownik Luftmare krzyczał:

– Jestem pułkownikiem! Nie możecie tego zrobić! Jestem pułkownikiem! Ważnym oficerem! Jestem...

Strzał przerwał jego okrzyki.

Następny w szeregu również posiadał wysoki stopień, jednak swoją śmierć przyjął biernie. Ustawił się na brzegu dołu, spojrzał w kłębowisko dziesiątek ciał, przypominających porzucone worki tylko trochę kojarzące się z kucykami. Właściwie to z tej perspektywy to nie były nawet manekiny. To po prostu kupa szmat, wypchanych niedbale, aby w jakimś podrzędnym teatrze lub tanim filmie udawały prawdziwe kucyki. To nie mogli być towarzysze niedoli, z którymi jeszcze chwilę temu dzielił wagon kolejowy i budę ciężarówki. Po prostu byli zbyt nieudani. Nie wierzył, że to ciała, nie wierzył! To tylko beznadziejny spektakl, chałtura niegodna żadnych pieniędzy za bilet! Niegodna, niegodna!

Strzał przerwał jego tok myśli.

Kolejnym skazańcem okazał się bardzo specyficzny pegaz, o ciemnogrnatowej sierści, nietoperzowych skrzydłach oraz długich kłach, których zazwyczaj kucyki nie posiadały w ogóle. Nie szarpał się, nie stawiał oporu. Pionowe źrenice niczym u kota zwężyły

się na widok stosu ciał wrzuconych do dołu, ale żołnierz nawet nie zadrżał. Przycisnął do piersi wiszący tam Żelazny Księżyc, jeden z pierwszych, jaki przyznano w tej wojnie, już drugiego dnia walk o Fillydelphię.

– In nomine noctis! – powiedział głośno nieco świszczącym głosem, a wtedy przyłożono mu lufę do głowy i naciśnięto spust. Kula jednak omsknęła się o skraj czaszki, nie zabijając go. Pchnięty siłą wystrzału wpadł do dołu i rozpostarł skrzydła, ogarniając nimi naraz ze trzy leżące pod nim jednorożce. Jeden też jeszcze żył i jego róg zabłysł na chwilę karminem, migocząc jak zepsuta świetlówka. Nimb przelał się z niego i musnął nos umierającego nietokuca, a potem zgasł już na zawsze.

Przy kolejnym dole szarpał się jakiś potężnie zbudowany ogier z zielonymi patkami artylerii. Zdawał się być nieczuły na ciosy kolbą w bok i choć jego czerwone ciało pokryło się już kamuflażem fioletowych sińców, on dalej gryzł i kopał, kiedy tylko któryś Sombryjczyk próbował go zaciągnąć przed dół. Wartownik wymierzył i strzelił z Mosina w jego stronę, ale chybił. Pocisk tylko musnął grzywę Equestriańczyka, który zarżał i wyrwawszy się z uchwytu drugiego wroga, skoczył z kopytami do gardła pechowego strzelca. Całym swoim ciężarem wbił przeciwnika w ziemię, rozgniatając jego hełm i łamiąc którąś z kości czaszki. Sombryjczyk przeżył, ale złożył się na ziemi i wrzasnął z bólu. Oczy zalała mu krew z rany, z której wystawał fragment kości skroniowej. Potężny ogier wyszarpnął mu z kopyt Mosina, przeładował...

I wtedy rozpruł się peem drugiego wartownika. W oczach Sombryjczyka płonął strach, kiedy wywalił w stronę artylerzysty całe pół magazynka. Ciało rozszarpały trzy tuziny kul, wyrwijąc w nim ogromne dziury i szatkując wnętrzności niczym mikser. Kiedy broń ucichła, ginąc w słupie dymu dobywającego się z lufy, czerwony żołnierz padł na wijącego się na ziemi Sombryjczyka, zalewając go resztkami swoich własnych trzewi. Rozległ się ponowny krzyk, zakończony bulgotem wypluwanego czegoś obrzydliwego z ust.

Kilku więźniów stojących w kolejce spróbowało skorzystać z chwili dezorganizacji i wyrwało się z kolumny. Wtedy rozległy się pojedyncze, precyzyjne strzały z pistoletu. Za każdym razem jeden z odważnych Equestriańczyków padał martwy na ziemię, zalewając ją swoją krwią i kawałkami mózgu.

Zbliżył się oficer w niebieskiej czapce NKWD i z odrazą spojrzał na całe zamieszanie. Jego pistolet jeszcze nie zdążył ostygnąć, kiedy wymierzył go w stronę rannego towarzysza.

Wypalił, skracając mu męki.

A potem, wciąż nie zmieniając nieprzyjaznego i zimnego jak skała wyrazu twarzy, gestem nakazał kontynuować egzekucję. Pozostały przy życiu wartownik podprowadzał tych kilku ocalałych z pierwszej części masakry więźniów i nad dołem ustawiał ich do strzału oficerowi. Ten zmienił magazynek i dokończył swoje dzieło.

Podjechała druga ciężarówka, z której wysiadła najpierw trójka kolejnych strażników, zwalniając tego, który miał rozprawę z artylerzystą. Jeden z nich był jednorożcem i za pomocą granatowej magii wrzucił poległych Equestriańczyków do dołu, a także zabrał dobitego Sombryjczyka. Kiedy się z tym uporali, opuścili klapę ciężarówki i za pomocą razów kolb wyciągali po kolei po jednym jeńcu. Pozostali dwaj Sombryjczycy jako pegazy podlatywali do pojazdu i tak pomagali sobie w zaciąganiu opornych żołnierzy.

Pierwszy z nich z nich niemalże wypadł z ciężarówki i rozpląszczył się na ziemi zawodząc:

– Błagam! Ja mam trójkę małych dzieci, a żona jest chora! One zginą z głodu beze mnie! Nie możecie mnie zabić! NIE MOŻECIE! NIEEEE! MAM MAŁE DZIECI! NIEEEE!

Krzyczał aż do samego końca. Pegazy uniosły go w górę i podleciały nad sam wykop. Zawisły w powietrzu, a wtedy oficer strzelił w tył głowy ojca. Ten nawet nie jęknął i zwiotczał w ramionach Sombryjczyków. Puścili go, a ciało głucho uderzyło o inne ciała już tam złożone.

– Jestem bogaty! Naprawdę bogaty! – gorączkowo wypluwał z siebie słowa następny jeniec, nieco pulchniejszy jednorożec ze znaczkiem w kształcie portfela. – Mogę każdego z was też uczynić bogatym! Tylko darujcie mi życie! Zapłacę! MNÓSTWO ZAPŁACĘ! KAŻDEMU! NIEEEE! NAPRAWDĘ! ZAPŁA... – strzał odebrał mu mowę, a pegazy wrzuciły jego ciało nieco bardziej z tyłu, aby zrobić miejsce dla kolejnych. Teraz przyszła kolej na drobną pegazicę o szarawej sierści i jadeitowych oczach. Skrzydła miała spętane konopnym sznurkiem. Na chabrowym mundurze Luftmare widniały rude smugi, będące pamiątką po brutalnym przesłuchaniu. Ran nie było widać, więc zapewne bito ją tylko w pierś. Spojrzała na swoich oprawców niemalże tak samo zimno, jak oni na nią, co musiało na jednym zrobić wrażenie, gdyż zawahał się, biorąc ją pod ramię. Jednak drugi pozostawał nieugięty i podniósł ją razem z towarzyszem w górę. Oficer wymierzył w nią i strzelił, ale chybił.

Dziewczyna zaczęła się śmiać. Jej chichot po chwili przerodził się w obłąkańczy rechot, pełen tak brutalnej i dobijającej satysfakcji, że oficer aż prychnął z gniewu. Wymierzył ponownie i nacisnął spust, ale rozległ się tylko stukot iglicy w nic nie trafiającej. Magazynek był pusty i trzeba było go zmienić, co dało pegazicy kolejne dwadzieścia sekund rechotu.

Rozległy się dwa kliknięcia, chrzęst przeładowywanej broni, a potem finalny huk. Śmiech ucichł, ale upiorny uśmiech pozostał na twarzy klaczy już na zawsze.

Kolejny oktet klaczy wyprowadzanych z ciężarówki nie stawiał oporu. Każda biernie dawała się zaprowadzić nad skraj dołu lub podciągnąć nad niego. Zamykała oczy tuż przed tym, jak padał strzał.

Kiedy wymierzono w ostatnią z nich, białą z malinowymi lokami i znaczkiem przedstawiającym czerwoną poduszkę, oficer nacisnął spust i znowu rozległo się tylko kliknięcie. Wtedy klacz najpierw wypuściła głośno powietrze i otworzyła usta, nic nie mówiąc.

Potem zaczęła krzyczeć.

Padła na ziemię i zaczęła walić kopytami w trawę, zawodząc i wrzeszcząc jak najgłośniej. Strażnicy spojrzeli na nią nienawistnie, a oficerowi ze zdenerwowania wypadł magazynek z kopyt i odbiwszy się wpadł do dołu. Zaklął plugawie, po czym sięgnął po kolejny, ale w kieszeni natrafił na pustkę. Podniósł zatem kopyto i dwukrotnie je opuścił do połowy wysokości. Wtedy podleciał do niego inny pegaz, niosący na grzbiecie mały kosz pełen załadowanych magazynków. Oficer zebrał ze trzy i gestem odesłał amunicyjnego dalej.

W tym czasie klacz nagle uspokoiła się i dyszała ciężko. Przeżyła własną śmierć. Całe ciało podnosiło się wraz z jej oddechem, kiedy powietrze nadymało jej pierś. Patrzyła przed siebie, próbując zapamiętać jak najwięcej detali z widoku. Trawa, dół z ciałami, drzewa rosnące gęsto po drugiej stronie, nawet jakieś jesienne motyle kręcące się wokół rachitycznych, czerwonych kwiatów. Uczyla się tego wszystkiego, powtarzając sobie panicznie kolejność elementów. Trawa, dół, drzewa, motyle kwiaty. Trawa, dół, drzewa, motyle, kwiaty. Trawa, dół, drzewa, motyle, kwiaty. TRAWA, DÓŁ, DRZEWA, MOTYLE, KWIATY! TRAWA, DÓŁ, DÓŁ, DÓŁ, DÓŁ...

Huknęło.

Jednym kopniakiem ciało zostało wrzucone do dołu, przed którym, pod drzewami, motyle siadały na czerwonych kwiatach, rosnącymi pośród trawy.

Następny jeniec miał na głowie założony ciasny worek, tłumiący wszelkie dźwięki. Bez oporu dał się wyprowadzić z ciężarówki i jakby nieświadomy tego, co się dookoła dzieje, pozwolił spokojnie zdjąć z siebie worek, kiedy dotarli do krawędzi profilu wkopu.

Wtedy dopiero usłyszał strzały i krzyki dobiegające zewsząd.

Poczuł zapach krwi

I ujrzał zawartość dołu.

Dziesiątki ciał, leżące bezładnie na sobie, skojarzyły mu się z brudnymi ubraniami, wrzuconymi do ogromnego kosza w garnizonowej pralni. Zaplamione krwią, zabłocone glebą. Głowy z otwartymi ustami, a także wywalonymi językami. Oczy zamknięte i te wytrzeszczone z bólu lub strachu. Ciała poskręcane w agonalnej pantomimie śmierci.

Ogier padł na zad i zaczął panicznie odsuwać się od krawędzi. Jego źrenice rozszerzyły się na całe gałki, zamieniając je w czarne czeluści.

– Nie... – jęknął, kręcąc głową, jakby odrzucając od siebie rzeczywistość, którą właśnie poznał. – To nie może być prawda... niee.... NIEEEE!

Dwa pegazy podniosły go do góry i nie bacząc na jego opór, zawisły nad dołem.

Strzał.

Przy innym dole ciężarówkę zatrzymano na tyle blisko, że Equestriańczycy wysiadając od razu stawali nad krawędzią. Wtedy kat długim i ostrym rapierem przebijał im serca i strząsał ciało prosto do wykopu. Tutaj tempo produkcji śmierci było najszybsze, choć ogier wykonujący wyroki wyraźnie się męczył. Pot spływał z jego czoła strugami, więc stojący obok wartownik obcierał mu twarz wilgotną szmatką, która po chwili stała się czerwona od pryskającej wszędzie krwi.

W samej ciężarówce starszawa klacz przytulała do swej piersi ledwo dorosłego syna. Młodzieniec płakał i szlochał głośno, łzy zalewały mu przednie nogi, którymi próbował osuszać oczy. Matka tylko głaskała go po głowie i starała opatulić swym puszystym, seledynowym ogonem, ale chłopak był za duży i sięgała tylko do połowy żeber. Jej niebieskie oczy również były wilgotne, ale w obliczu rozpacz syna musiała pozostać twarda. Nawet jeśli nikt, ale to zupełnie nikt obok nie przejąłby się jej rozpaczą i jej nie skrytykował.

– Dlaczego, mamgo?! Dlaczego?! – zachlipał syn. – Nie chcę umierać, mamusiu. Byłem żołnierzem tylko tydzień...

– Nie martw się, kochanie – odpowiedziała łamiącym się głosem matka. – To będzie bardzo szybkie, nawet nie poczujesz.

– Przecież byłem dobrym, serdecznym kucykiem. Dlaczego?

– Nie wiem... nie wiem...

– Kocham cię mamgo...

– Nic nie poczujesz...

– Mamgo...

- Nic nie poczujesz.
- Mamusiuuu!
- Niczego nie poczujesz...

Najpierw wyciągnięto jego. Trzymał się kurczowo matki, ale pod uderzeniem kolby w bok puścił jej szyję i z wrzaskiem wypadł z ciężarówki. Ześlizgnął się do dołu i upadł na stertę ciał. Widząc na czym wylądował, zaczął płakać i krzyczeć, błagając o litość i wzywając matkę.

– Moje dziecko! MOJE DZIECKOOO! – krzyknęła klacz i skoczyła do przodu, ale z lotu wybił ją strażnik, brutalnie sprowadzając na ziemię. Podniosła się i próbowała ponownie skoczyć, ale wtedy ostrze przebiło jej serce, na oczach syna. Młodzian zachłystnął się własnym płaczem i zaczął dusić. Wtedy podleciał do niego pegazi enkawudzista i od tyłu przyszpilił jego klatkę piersiową bagnetem zamontowanym na końcu karabinu. Chłopiec wytrzeszczył oczy, a z jego ust wytrysnęła krew. Pegaz poprawił pchnięcie i jeszcze raz, a wtedy ogierek przewrócił się i stał kolejnym ciałem w stosie. Jego matkę rzucono tuż obok.

Gdzie indziej wzięto klacz w purpurowych barwach sztabowych i kiedy ustawiono nad krawędzią. Spróbowała ugryźć swojego prześladowcę w ucho, ale wtedy huknął strzał.

Inna klacz, również ze sztabu, padła na kolana i zaczęła głośno wzywać Celestię na pomoc. Zaklinała swoją protektorkę, błagała ją o interwencję, a nawet ofiarowała jej swe życie jako dożywotnią służbę, jeśli ta tutaj przybędzie i ją wyciągnie z tragedii.

Strzał.

– Celestia nas zdradziła! – powiedział młody podporucznik, stojący jako trzeci w kolejce. – Służyliśmy jej wiernie, a ona teraz nas zostawiła na pastwę tych skurwysynów ze wschodu!

Nie zdążył powiedzieć niczego więcej, gdyż zarobił sójkę w bok od stojącego obok artylerzysty, który syknął do niego głosem pewnym pogardy:

– Zamknij się, pedale! Umrzyj jak mężczyzna! Umrzyj z honorem!

Huk.

Strzał.

Huk.

Dwadzieścia metrów dalej, za kępą drzew od kwiatów i motyli, z ciężarówki wyprowadzono kolejną, błękitną w umaszczeniu pegazią oficer Luftmare. Nosiła dumne, rubinowe patki pilota bombowca. Nienawistnie patrzyła na prowadzących ją strażników. Próbowała się wyrwać ich ramionom, ale zarobiła cios w bok i przestała się stawiać. Miała szczęście, że strażnik zadowolili się jednym uderzeniem, gdyż jej współtowarzysz niedoli za próby zatrzymania się stracił zęby i oko.

Dotarli do dołu, w którym leżało już dwanaście ciał, w większości klaczy jednorożców. Pilotka splunęła pod swoje nogi na myśl, że ona, pegaz ze szlachetnego rodu, będzie gniła w ziemi jak jakiś ziemski kuc! To było zatrwajająco niegodne jej osoby. Pogodziła się ze śmiercią, była gotowa zginąć za Lunę, nawet w tak hańbiący sposób jak teraz. Ale nie mogła znieść perspektywy, że pochowają ją w brudnej, zimnej i ohydnie odrażającej glebie!

– Nie zgadzam się! – zaczęła mówić, a oficer już do niej podszedł i wymierzył broń.

Wtedy przez kanonadę dziesiątków strzałów, którymi rozbrzmiewała okolica, przebił się warkot licznych silników. Dużych silników, większych od samochodowych. Pilotka bezbłędnie rozpoznała jeden z tonów, wszak sama nasłuchiwała go się w czasie swojej służby aż nadto.

– To Stukas! STUKAAAAAAS! – zakrzyknęła radośnie, a ta myśl wypłukała jej z serca wszelki strach. Czerwoni rozejrzeli się w górę niepewnie, a oficer gestem nakazał spokój, jednak nie podejmował żadnych działań. Stał i też niespokojnie zerkał na błękitną draperię, jaką było zasłonięte przez korony drzew niebo.

Zaprzestano strzelania, a powstała w tej chwili ciszy przygniotłaby wszystkich swoją ciężką posępnością, gdyby nie zbliżający się szybko hałas. Las tłumiał dźwięki, toteż nie musieli długo czekać. Skoro coś usłyszeli, musiało być już bardzo blisko.

Na niebie pojawiła się wronowata sylwetka Junkersa. Błękitna pilotka od razu rozpoznała nie tylko typ samolotu jako Ju 87 B, ale i nawet czerwone pasy szybkiej identyfikacji, a także numer „12 D”. To nie był przypadkowy numer! Znała go doskonale. Sama latała wcześniej 12C!

– To moja przyjaciółka Yellewind! HEJ! TUTAJ! POMOCY! – zakrzyknęła, podskakując w górę. Spętane skrzydła nie mogły się rozwinąć, więc nie mogła polecieć ku górze. Strażnicy, nie chcąc zwrócić uwagi samolotu, nie mogli nawet w jej stronę strzelić, tylko patrzyli przerażeni w górę. Poddanym Celestii dawało to mnóstwo satysfakcji, która smakowała im jak nigdy wcześniej!

Inni Equestriańscy również zaczęli błagać o pomoc. Machali, stawali dęba. Któryś jednorożec nawet spróbował wywołać jakiś magiczny efekt, ale magiczny kaganiec rozpałił się do czerwoności i mężczyzna ze łzami w oczach musiał przestać, aby głowa nie pękła mu z bólu.

Wszystko wskazywało na to, że pilot szturmowca nie zauważył ich.

Nie był też sam.

Za nim pojawił się Jakowlew 1 z czerwonymi rogami na skrzydłach. Na ich oczach skrócił dystans do Stukasa i wypalił mu serię prosto w ogon. Trafił, a kawałki steru kierunku rozproszyły się po niebie. Bombowiec jednak jakoś zachował sterowność i leciał dalej, a nawet tylni strzelec odważył się strzelić parę razy w stronę myśliwca, ale na próżno. Wtedy Sombryjczyk poprawił, a Ju 87 przekręcił się na bok. Spróbował jakimś ostrym manewrem skrócić o dziewięćdziesiąt stopni. Jednak samolot nie był stworzony do takich ewolucji, w dodatku ranny i ostrzelany. Skrzydło pękło od przeciążeń i złamało się jak samolotowi z lotniskowca. Junkers bezwładnie zaczął kręcić beczki i nieubłaganie zbliżać do ziemi. Tylni strzelec zdążył wyskoczyć i powoli leciał ku koronom drzew, chcąc ukryć się w lesie przed oczami myśliwca.

Wtedy dwóch pegazich enkawudzystów wystartowało mu naprzeciw. Był tak zaskoczony, że nawet nie zdążył wyjąć pistoletu z kabury. Dwa strzały z Mosinów przeszły mu głowę i serce równocześnie, a martwy ptak spadł prosto na drzewa i zawisł na gałęzi, skąd go ściągnięto i ciśnięto do najbliższego dołu.

Oficer Luftmare spuściła bezradnie oczy. Teraz to już nic nie mogło ich uratować. Wraz z radością odeszło także obrzydzenie i wszystkie inne uczucia, jakie w tak ostatecznej chwili mogły jeszcze się urodzić w jej sercu. Bez oporu ustawiła się na skraju dołu i zamknęła oczy.

Strzał.

Teraz już absolutnie nikt nie stawiał oporu. Scena, która rozegrała się przed chwilą, absolutnie zmroziła ogień w ich sercach, odcinając dopływ krwi do tych ośrodków w mózgu odpowiedzialnych za odwagę i waleczność. Pozostała tylko bierność i świadomość, że wyrok zapadł. Nic już nie zmieni ich losu.

Po kolei stawano nad krawędzią, spuszczano głowę.

Strzał.

Następny. Krok, spuszczenie głowy.

Strzał.

A brzozy dookoła tylko szumiały łagodnie, w ogóle nie sprzeciwiając się widokowi, który rozpościerał się pod ich pniami. Po prostu dalej się żółciły, przepowiadając nadchodzącą szybko jesień, którą w tym roku zapowiedziano jako krótką i dynamiczną, prędko dopuszczającą do władzy zimę. Były drzewami, tylko biernie patrzyły na świat i godziły się na wszystko. Nie stawiały pytań ni warunków.

Drzewa zawsze są tylko niemymi świadkami. Nawet, kiedy niecelna kula utkwiała w pniu któregoś. Nawet to nie skłaniało ich do protestu. Były całkowitymi, niezaprzeczalnymi konformistami.

Przy innym wkopie dwaj czerwonoarmiści będący jednorożcami podnieśli magicznie hałdę i opuścili ją na właśnie wypełniony ciałami otwór w ziemi. Spulchniona ziemia nie pozwoliła z powrotem utworzyć płaskiej powierzchni, więc powstało coś na kształt podłużnego kurhanu. Widząc to żołnierze strzelili we wzgórek rogami, by magicznie zniwelować teren. Teraz już jedyną różnicą pozostawała nagość bez trawy, którą jednak rychło miały przykryć opadające liście zbliżającej się wielkimi krokami jesieni. Jednorożce pokłusowały do następnego dołu, przy którym zakończono egzekucję i tam powtarzały czynność.

*

Niektórzy obudzili się w kałuży potu, a inni mieli mniej szczęścia i znaleźli pod sobą własne wymiociny. Bez wyjątku każdego bolała głowa. Co wrażliwsi zanotowali potężny krwotok z nosa i uszu, a także popękane żyły w oczach. Zdecydowanie, to nie była zdrowa magia.

Jednak te wszystkie urazy miały się nijak do absolutnie zdruzgotanej, zniszczonej, zbombardowanej i zaoranej psychiki. Nie rozumieli ogromu zbrodni, którą właśnie ujrzeni. Żaden słownik nie zawierał słów dość soczystych, aby ująć smak tego okrucieństwa. Nie dało się! Equestria nie potrafiła wyobrazić sobie takiej podłości.

Hedgehog płakał jak bóbr, przypatrując się własnym wspomnieniom. Nie dbał o to, że wszyscy patrzą na niego, na założyciela Dzikiej Armii, postrach Armii Czerwonej. Sombryjczycy drżeli przed tym imieniem, którego właściciel teraz jak niejedna z kobiet zebranych dookoła szlocha zgięty w pół.

Nie mieli mu tego za złe i w żadnym wypadku nie odczytali płaczu jako słabości. Żaden z nich nie był w stanie tak po prostu przełknąć obrazów, które mu pokazano i serdecznie żałował, że dał się namówić na wizję. Wiedzieli też, że major znał osobiście wielu z tych, którzy zniknęli po kapitulacji Fillydelphii i Manehattanu.

I teraz się znaleźli.

– Dwanaście tysięcy... – wyszeptała Babs Seed. – tyle imion zostało uznane za „zaginione”. Żołnierze trzeciej i czwartej dywizji piechoty, a także mniejszych jednostek Maremarine i Luftmare... broniący w nierównej walce naszych dwóch metropolii. Oni... są tutaj...

Znajdowali się w lesie pod miasteczkiem Harasshors, ale ile takich lasów było?

Tyle, aby pomieścić dwanaście tysięcy ciał.

Teraz widzieli wszystkie wkopy, małe kurhaniki i rachityczną trawę. Gdyby tej zimy spadł normalny śnieg, to nie daliby rady odkryć tego miejsca. Los jednak dał szansę, której nie mogli zmarnować.

Uhu zawiązywał pergamin, Zakłębem zapieczętował go i przekazał majorowi.

– Przyjacielu... ten list musi trafić do księżniczek. Nie możemy lękać się przelać własnej krwi, aby wspomnienie, które tutaj zapisałem, zostało przez nie odczytane.

*

14 stycznia 1272

Canterlot

– Moje dzieci, moje małe dzieci! – ryczała Celestia, zużywając już drugie pudełko chusteczek. Jej nastrój udzielił się całemu dworowi, zdawało się nawet, że kamienie wmurowane w fundamenty zamku płaczą i cała konstrukcja drży wraz z każdym oddechem księżniczki. Luna siedziała bez słowa pod ścianą i wpatrywała się w księżyc, który błyszczał na niebie. Szukała w nim odpowiedzi na trylion pytań, które bombardowały jej umysł i szalały niczym szarańcza. Uhu przesłał im dotychczas jedną wiadomość, która uświadomiła jej, z jakim przeciwnikiem walczą. Tym razem od początku podejrzewały, że drugi pergamin niesie ze sobą jakąś dantejską wizję, ale i tak skala je przerosła. Je, które pamiętały krwawy chaos Discorda!

– Bezbronnie! Delikatnie! Nie... nie wierzę... i on im to zrobił! ON! – krzyknęła, a pękła szyba gdzieś piętro niżej, pewnie jedna z ostatnich, które oparły się lamentowi Pani Dnia. Tylko witraże z sali tronowej mogły czuć się bezpieczne, gdyż chroniły je potężne zakłęcia. Zwykłe okna po tej nocy będą wymagały całkowitej renowacji.

– Cóż, wyjaśnił się twój ból serca z zeszłej jesieni, to była rocznica – powiedziała ponuro Luna, nie przerywając obserwacji swego dysku. Zupełnie nie wiedziała, co teraz. Teoretycznie to niewiele zmieniało, wojna toczyła się dalej. Ale jak mogła walczyć z takim bestialstwem? No jak?

To był okropny test dla jej serdeczności. Miała niespożytą ochotę zezwolić swym nietokuciom na okazanie wampirycznej duszy. Niech gryzą tych łotrów, niech okażą cały drapieżny, lubieżny mrok ich natury. Może wtedy Armia Czerwona potraktuje poważnie swoich przeciwników!

Kiedy te myśli przyszły jej do głowy, to poczuła płynącą z nich przyjemność. Zaczęła smakować wizję, w których całe eskadry nietokuców rzucały się na szyje swoich wrogów i brutalnie wpijały w tętnice, wysysając z nich życie.

Nagle ciało ogarnęło zimno. Wzdrygnęła się, a zęby zaświerzbily jakby posypano je jakimś proszkiem. Równocześnie umysł rozjaśnił się i przyszedł jej do głowy niezwykle

pomysł. Zarechotała na całe gardło nie swoim głosem, od którego w pokoju stało się lodowato. Celestia pomiędzy łkaniami podniosła wzrok i obtarła oczy, rozmazując makijaż.

– Luno! Twoje zęby!

– Nie to jest teraz istotne! – powiedziała Luna, pochylając się do lustra, które leżało nieopodal. Istotnie, całą szczękę wypełniały kły Nightmare Moon, ale poza tym ciało nie uległo żadnej transformacji. Powinna wpaść teraz w panikę, ale coś rozgrzewało jej duszę. Tym czymś był pomysł. – Wygrałyśmy! Sombra właśnie podpisał na siebie wyrok śmierci! Już przegrał! Jakiż to piętrowy, piramidalny głupiec!

– Siostrzyczko...

– Ukochana sestro! Spójrz, co on zrobił! Zamordował bestialsko dwanaście tysięcy kucyków! To co setny mieszkaniec Fillydelphii! To półtorej dywizji! To...

– Skończ tę zbrodniczą litanię! Moje serce właśnie pęka na miliony odłamków! – krzyknęła rozpaczliwie Celestia, ale Luna tylko roześmiała się niczym Nightmare Moon.

– Niech wszyscy się dowiedzą! Niech ujrzą, że Armia Czerwona to armia zbrodniarzy, przy których incydent ze Starfall i jej hemoglobiowymi zachciankami jest przyszcem! Czyż ktokolwiek mógłby z twarzą popierać taką sprawę? Dwanaście tysięcy trupów! TRUPÓW! – krzyknęła, a Celestia zawyla z bólu. – Kto ją poprze? NIKT! NIKT NIGDY! To doskonały pretekst, aby odwrócić się od słabnącego przeciwnika i niczym wyzwoliciel najechać tereny Kempuczy i Ruskonii! Wszak będzie to misja, która oswobodzi te tereny spod tyranii!

– O czym ty mówisz? Siostr...

– Ukochana sestro! – Luna podeszła do Celestii, która cofnęła się przerażona, widząc obłęd w tęczęwkach Pani Nocy. – Gryfy wspierają Sombę dla pieniędzy, tylko one się dla nich liczą! A najlepsze pieniądze to te, za które nie trzeba dawać nic w zamian, jeśli je się weźmie! Oni tylko czekali na pretekst, aby móc zagarnąć ich gospodarkę! Jestem tego pewna! Jeszcze jutro na tereny Sombrii za kontynentem wjadą Shergriffy, Grandy i Maretildy! Wystarczy, że pokażemy im treść tego listu! To usprawiedliwi wszystkie ruchy, które wykonają w tamtym kierunku! Wybrzeże zablokują gryfickie okręty! To już wkrótce! Już czuję...

Celestii trzęsły się kopyta, a róg odmawiał posłuszeństwa. Z lękiem podniosła głowę i spróbowała się opanować.

– Skąd możesz wiedzieć, że oni tak łatwo zmieniają stronę? To niegodne, nawet, jeśli wspierało się złą sprawę. Bądź co bądź, oni współpracowali! Ten cały Lend-Lease...

Luna zakręciła ogonem i uśmiechnęła się drapieżnie.

– Celestynko, jesteś słodka w swej naiwności. Grasz według słusznych zasad, jasnych jak twa sierść. Uczciwa i piękna! Ale ja poznałam mrok duszy kucyka od środka i wiem, że gryfy są jeszcze brudniejsze od najgorszych z nas. Bez mrugnięcia okiem porzucają swego nieoficjalnego sojusznika, aby zagarnąć jego ziemie, jeśli będą miały pewność, że zostaną za to pochwalone na forum międzynarodowym. Że nikt ich nie skarci i nie spróbuje ukarać! A nawet wspomógł! A to, że tak się stanie, to chyba oczywiste. Kto nie poprze armii, która wyzwala od takich zbrodniarzy?

– Na przykład mieszkańcy ziem, które znajdują się pod nową okupacją!

– Znam gryfy. Ci biedacy nigdy w swoim życiu nie będą mieli takiej swobody, jak pod panowaniem demokratycznego prezydenta. Będą musieli się dostosować do nowych zasad, ale anarchiczna wolność nigdzie nie ma miejsca.

– Zatem... musimy ten list tylko rozesłać wszędzie?

– Wszędzie i zawsze! Francja, Ichalia, Paardelandia, Saddle Arabia, Gryffonia! Cały świat uwierzy w jego treść, to przecież wspomnienie wizji lokalnej! Każdy, kto choć trochę zna się na magii, poświadczy autentyczność tego zapisku!

W wypełnionym bólem sercu Celestii nie mieściło się, że taka zbrodnia może uratować świat od Sombry i jego czerwonej zarazy. Dwanaście tysięcy dzieci! Takie stadobójstwo mogło doprowadzić do wypadnięcia planety z trajektorii! A mimo to ten plan brzmiał sensownie.

Pozostawało zatem przypomnieć sobie, jak kopiuje się zaklęcia w zwojach.

*

14 stycznia 1272
Kryształowe Imperium

Applejack zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym nozdrzami. Westchnęła z ulgą czując, jak wszystkie mięśnie i każda jedna szara komórka właśnie rozluźniają się, niczym przy porządnym masażu, którym w Ponyville Spike obdarzał swoje kopytne przyjaciółki. Tak, dobra fajka przegrywała tylko z jego palcami.

Pochylała się nad mapą i próbowała przewidzieć, co teraz robi Armia Czerwona, aby urozmaicić jej dzień. Kapitan Raspberry sprawdziwszy ją w boju postanowił zrobić dokładnie to, czego się spodziewała, a więc zlecił jej obronę wysuniętej pozycji nie do obronienia. Po tak długiej karierze w samym środku tego arktycznego nigdzie jakoś straciła satysfakcję z otrzymywania podobnych zadań. Wolałaby zostać w końcu złuzowana. Domyślała się, że na innych frontach żołnierze mają urlopy, a nawet regularnie wypłacany żołd! Ona nie zawsze widziała na czas nawet suche racje żywnościowe.

– Druga kompania jest za wami i potrzebuje jeszcze trochę czasu, aby dojść do siebie – powiedział oficer godzinę temu, a Applejack obserwowała przedpole przez lornetkę. – Wasze ostatnie sukcesy, to jak ładnie pogoniliście tamte ISy... to nam pozwoliło nieco ustabilizować front. Generalnie wszędzie się cofamy, ale dzięki takim kontratakom jak twój, to front przypomina sinusoidę, a nie... nie...

Zająknęła się szukając słowa, a Applejack od razu posłużyła pomocą:

– Jak burdel w płonącym kurniku. Tak, wiem. Jednak to nam głównie daje, skoro nam się ofensywa co rusz stopuje!

– Nic nie poradzimy. Dywizja nie ma jak przejąć inicjatywy. Stać nas tylko na działania opóźniające.

– Chromolę to! Do dupy z taką robotą! – jęknęła Applejack i opuściła lornetkę. Teren tutaj był mocno pofalowany, więc w panoramie rozciągającej się z tego punktu znajdowały się martwe pola, zza których mogły wyjechać niepostrzeżenie wrogie czołgi, a wtedy nawet głębokie okopy niewiele pomogą. Niestety, dalej nie znajdowała się żadna linia umocnień polowych, a było zbyt mało czasu na przygotowanie czegokolwiek. I tak ta pozycja służyła tylko temu, aby opóźnić atak na drugą linię, której broniła kolejna kompania.

Trochę żałowała, że Pinkie Pie wraz ze swoim plutonem musiała odjechać na jakiś bardziej newralgiczny odcinek frontu. Bez wsparcia pięćdziesięciosześcioletnich kolosów Applejack czuła się taka mała i delikatna.

Jak na potwierdzenie tych słów usłyszała dalekie, ale pioruńsko szybko zbliżające się upiorne wycie. Poświęciła ułamek sekundy na krótkie przekleństwo, a potem wrzasnęła:

– PADNIJ!

Jej kompania po tylu dniach na froncie nie była już tą samą grupką przypadkowych i rozkapryszonych złotodziobów, co jeszcze w listopadzie, więc zagregowała na komendę wzorowo. Każdy przerwał właśnie wykonywaną czynności i zanurkował do okopu, zdarzając w ostatniej chwili.

Teraz to Applejack dopiero poczuła się mała i krucha.

Na cały teren spadło naraz z osiem eksplozji, a potem drugie tyle. Ziemia była mielona ze śniegiem niczym potężnymi szczekami jakiegoś giganta, wyrwijącego z gruntu ogromne kęsy i miażdżącego go w zębach razem z kucykami, które nieszczęśliwie stanęły mu na drodze. Sierżant usłyszała tylko krótki kwik, a potem wzdłuż transzei potoczyła się rzucona przez falę uderzeniową Poemy. Farmerka doskoczyła do niej wzywając medyka, ale wiedziała, że w ryku pocisków artyleryjskich nikt jej nie usłyszy. Pochyliła się i poszukała kopytem pulsu na szyi rannej. Rozdygotana nie była pewna, czy tu bicie serca rannej, czy po prostu drży ziemia od wybuchów.

Wtem trafiono całkiem blisko i całą ją obsypano ziemią i śniegiem, aż padła przygnieciona do dna okopu. Tchnięta instynktem nie próbowała się wygrzebać wiedząc, że ten ochronny płaszcz gleby może jej uratować życie.

Już dawno ogłuchła od wybuchów, więc pozostało jej skupić się na tym, aby serce od uderzeń nie oderwała się od ciała i nie spadło gdzieś w głąb jej ciała. Zamykała oczy, naciągając głębiej na czoło hełm, jakby miało to ją przed czymkolwiek uchronić. Czasem od pancerza lub nogi odbijała się grudka błota lub drobny odłamek raniący ją niczym kuleczka śrutu. Nie czuła bólu, zaprawiona w podobnych sytuacjach. Jednak za kilka godzin organizm upomni się o sprawiedliwość.

O ile za kilka godzin będzie żyła.

O ile za sekundę działo nie trafi prosto w nią, odsyłając jej szczątki tam, skąd pochodził ród kucyków ziemskich, a więc głęboko w glebę.

Nagle piekło zamilkło, jakby nigdy nic się nie stało. Farmerka podniosła głowę i wygrzebała się z ziemi, aby ogarnąć sytuację. Dmuchnęła w gwizdek, aby przyzwać do siebie kogoś, komu nie urwało głowy i mógł jakkolwiek wykonywać jej rozkazy. Nie słyszała dookoła potępieńczych krzyków, a więc chyba nie było dużych strat.

Zagwizdała ponownie, a wtedy w końcu dotarł do niej ktokolwiek. Tym kimś był Silver Wing, wolno lecący tuż nad ziemią, jakby bojący się jej dotknąć. Złożył krótki, chaotyczny meldunek, z którego jednak wynikała krzepiąca wiadomość. Brak strat, poza raną Poemy, do której już doskoczyła Katerina.

Applejack nie zdążyła mu odpowiedzieć, gdyż usłyszeli nadciągający pisk gąsienic wymieszany z warkotem dużych silników. Sierżant zaklęła i spytała o stan broni przeciwpancernej. Odpowiedź nie była zbyt zachęcająca. Tak, teraz klacz poczuła się jeszcze mniejsza wobec czołgów.

Wezwała Rudego, któremu dziś przypadła kolejka targania dużej torby z materiałami wybuchowymi.

-Bierz Tellerminę, a także te gruszki magnetyczne i za mną! Ty też! – wskazawszy Silver Winga wyskoczyła z okopu i pogalopowała sto metrów w kierunku nieobsadzonego wcześniej dołka strzeleckiego, znajdującego się za samym grzbietem wzgórza. Pegaz lękliwie poleciał za nią, niechętny do wystawiania głowy znad okopu. Za to Rudy po prezentacji siły farmerki nie miał żadnych oporów, aby skoczyć za nią w ogień.

Dotarłszy do celu przeczołgali się na samą grań i wyjrzeni ponad nią. Błogosławili pomalowane na biało hełmy, które maskowały ich łepetyny.

Szczególnie, że nacierały na nich trzy pojazdy otoczone przez obstawę piechoty. Applejack zwężyła brwi i zdiagnozowała u wroga dwa stare teciaki z krótkimi lufami, a także jakieś wielkie, kanciaste monstrum, przypominające szkatułkę na ogromnych gąsienicach od ISa, a więc to było to nowe ISU. Z przodu była krótka, ale pękata lufa, zapewne rozrywająca bunkry i pancerze z łatwością skorupkę od jajek. Nie, nie można było pozwolić, aby to coś dotarło do drugiej linii albo napotkało wymęczonych pancerniaków od Pinkie Pie.

Trzy pojazdy, jakąś piętnastka kuców. Ciężka sprawa, ale da radę.

Zamachała do Greenhorna i gestem wskazała mu miejsce, gdzie się rozstawić z MG42. Drugi cekaemista również zajął pozycję, byli też flankowani przez resztę plutonu.

Czołgi były ślepe i prawdopodobnie nie zauważą tego dołka, w którym siedziała. Obstawa powinna zatem skupić się na cekaemach. To skazywało Greenhorna na spore ryzyko, ale nie widziała lepszej opcji, aby wygrać tę potyczkę. Nie miały wsparcia czołgów, samolotów ani dział... a więc czegokolwiek dużego. Może i była małym kucykiem, ale miała w garści wielki granat magnetyczny.

T-34 nadjeżdżały całkiem szybko, a więc niczego jeszcze nie zauważyły. Obstawa siedząca na czołgach miała na sobie maskujące, białe pałatki, które zakrywały całe ciało. Większość dzierżyła Mosiny, ale ujrzała także ze dwa PPsh. Nie była to jakaś ważna grupa uderzeniowa, skoro dostali stare czołgi i stare karabiny.

Dziesięć metrów. Czoło pierwszego pojazdu zdawało się już być na wyciągnięcie nogi. Czołg jechał prosto na nich. Oba ogiery rzuciły jej spanikowane spojrzenia, ale ona tylko zmarszczyła brwi i przycisnęła ich do ziemi. Czekać! Czekać cierpliwie!

Pięć metrów! Grunt dygotał jakby znajdowali się na jakimś taśmociągu. Zesztywnieli, spróbowali wstać, ale ona zdecydowanym ruchem wbiła każdego w śnieg. Musieliby by się z nią mocno siłować, aby móc się uwolnić. Bali się jednak sprzeciwić pomarańczowej klaczy.

Otworzyli usta i stracili dech, kiedy niebo nad nimi zamknął gigantyczny, wielotonowy potwór. Poczuli się wprasowani w glebę, zmiażdżeni pod stalowymi gąsienicami i przemienieni na mąkę. Nie mogli krzyczeć, gdyż dusili się ze strachu i jedynie charczeli tracąc siły. Rudy zlał się w portki, a Silver Wingowi zesztywniały skrzydła.

Czołg przejechał, a pozostałe dwa flankując go również minęły dołek. Sombryjczycy nie zwrócili uwagi na trzy nieruchome jak kupki śniegu górki, będące nakrytymi przez płaszcze kucykami.

Wtedy zagrały cekaemy. Jeden z piechocińców krzyknął i padł, coś też stało się na pancerzu ISU. Czołgi zatrzymały się i spróbowwały swoimi kaemami ochraniać piechotę zaskakującą na ziemię i rozwijającą się w tyralierę. Wszyscy padli w śnieg, aby schować się przed wykaszającymi nieostrożnych Spandau'ami. Zostali całkowicie zaskoczeni, więc ich kontrogień był skrajnie chaotyczny. Przygniecenie do ziemi musieli bezradnie czekać, aż czołgi znajdą gniazda cekaemów i coś z nimi zrobią. Co gorsza, jak tylko któryś podnosił głowę, to nad głową śmigała mu celna kula wystrzelona z Mausera. Czołgali się do przodu, oddalając coraz bardziej od czołgu.

Na to czekała Applejack, choć wiedziała, że nie może zbyt długo zwlekać, gdyż T-34 w końcu znajdą Greenhorna i go rozwalą. Podniosła się i ignorując roztrzęsione nogi swoich towarzyszy, poderwała obu i wskazała każdemu po jednym celu. Sama jeszcze tylko upewniła się, że jej cekaemiści zmieniają synchronicznie swoje stanowiska, przez co czołgi

nie mogą ich namierzyć i wycelować. Kiedy Greenhorn otwierał ogień, to drugi MG42 uciekał i odwrotnie. Doskonale! Właśnie tego ich uczyła!

Pogalopowała ile sił w swoich wprawionych nogach, aby po piętnastu sekundach dotrzeć do ISU. Modliła się w myślach do Celestii, Luny, Twilight i każdego, kogo uważała za magiczny autorytet, aby któryś z tych czerwonych dragów się nie odwrócił, a także, aby Greenhorn jej nie uznał za uciekającego przeciwnika.

Udało się! Dopadła do dział pancernego i schowała za jego tylnym pancerzem, uspokajając oddech. Nie mogła teraz popełnić fałszywego kroku, bo nie będzie czego po niej zbierać.

Pojazd dygotał od wibracji silnika. Nie miał kaemu, a przynajmniej go nie widziała, więc czekał spokojnie, aż piechota coś wymyśli. Wyjęła z torby granat magnetyczny, a więc zakończony ostrym zapalnikiem stożek z sześciokątną podstawą i charakterystycznymi widelkami, w których zamknięto magnes. Chwyciła go w zęby i dobrze wymierzyła. Stuknęła zapalnikiem o pancerz, aktywując go, a potem przystawiła go podstawą do pochylego opancerzenia silnika. To była chwila prawdy. Jeśli magnes nie chwyci, to spadnie na ziemię i nie zrobi krzywdy pojazdowi.

W tej chwili dział strzeliło. Huk był tak potężny, że Applejack odskoczyła metr w tył i przewrócił się w śnieg. Dział miało ze sto pięćdziesiąt milimetrów i ta moc właśnie wywołała sięgający nieba gejzer błota w okopie.

Farmerkę ścisnęło serce. Tam ktoś musiał zginąć!

Natychmiast się opamiętała i spojrzała na granat.

Został! Nie odpadł!

– DO KOPYTA!

Odskoczyła jeszcze dwa metry i nurkując w śniegu poczuła na sobie eksplozję bomby. Z sykiem i jakby głuchym rykiem w górę wzbily się płomienie, które natychmiast ogarnęły cały przedział silnikowy. Wybuchło coś w rodzaju małej burzy ogniowej przykrywające coraz bardziej pojazd. Otworzyły się włazy, a ze środka wydrapała się jednorożec z niebieskim kombinezonem i z hełmofonem na głowie. Jego plecy również płonęły, a ogień darł się głucho:

– Pomogi mnie! Pomogite!

Rzucił się w śnieg, aby jakoś stłumić pożar na sobie. Wtedy zdjęła z pleców MP40 i wycelowała. Najpierw w niego, a potem w resztę uciekającej z pożogi pojazdu. Miała w magazynku aż trzydzieści dwie kule.

Starczyło.

Krótkie serie po 2-3 naboje i wszyscy padli. Strzelanie do ewakuujących się czołgistów uchodziło za podłe, ale wiedziała, że nie ma tutaj szans, jeśli oni by przeżyli. Dlatego natychmiast ich wyrzuciła z myśli i podczołgała się za osłonę palącego się wraku. Nie chciała tutaj zbyt długo gościć, gdyż w każdej chwili mogła wybuchnąć amunicja, a wtedy lepiej się oddalić.

Spojrzała pomiędzy kołami potwora i stwierdziła, że Silver Wingowi, który z racji swych skrzydeł otrzymał najdalszy cel, również się udało. Musiało wybuchnąć w tej samej chwili co u niej, skoro nie słyszała niczego. Podleciał nad czołg, wsunął płaską i okrągłą

Tellermine między charakterystyczny kołnierz z tyłu wieży T-34, a pancerz silnika i aktywował zapalnik. Mina wybuchła, wysadzając wieżę z siodła i niszcząc czołg.

Otoczeni przez wroga Sombryjczycy strzelali jeszcze bardziej bez ładu i składu. Próbowali trafić Silver Winga, ale ten zaryzykował i poleciał za najbliższą górkę, znikając im z oczu i dając chwilkę czasu Rudemu, który w rozpaczliwym skoku wdrapał się na T-34 i wsunął minę gdzie trzeba. Applejack wyraźnie widziała, jak chwyta zębami zapalnik, włącza i wtedy otrzymuje postrzał w pierś. Pisnęła, kiedy chłopak bezwładnie osunął się na pancerz, składając głowę tuż obok tykającej bomby.

Zamknęła oczy, aby nie widzieć, jak jego ciało rozrywa eksplozja. Czołg też został zniszczony i się zapalił.

Palnęła kopytem w śnieg w bezsilnej furii. Nie mogła nic zrobić, jakkolwiek go uratować! Nie potrafił ostrzec i uchronić!

Zawiodła... ona, matka kompanii.

Nie cieszyła się nawet z tego, że pozbawieni czołgów Sombryjczycy uciekli razem ze spieszonymi czołgistami z obu maszyn. Patrzyła tylko i czekała, aż ci znikną za wzgórzem, ścigani przez nieco niemrawe, pojedyncze serie tylko jednego kaemu. Najwidoczniej Greenhornowi kończyła się amunicja.

Dziś zakopie aż dwa ciała. Kucyk ziemski z ziemi pochodził do niej wracał. W raporcie zostanie to odnotowane jako błyskotliwe zwycięstwo, wszak Sombryjczyków naliczyła potem aż dziesięciu. Pięciokrotna przewaga!

Ale jakoś ten triumf smakował popiołem.

*

14 stycznia 1272
Canterlot

Leżała na boku i podpierała się jakby od niechcenia przednim kopytem. Tylne nogi założyła na siebie, ciasno ze sobą spletając i z satysfakcją ujrzała, że aż ogierowi podniosły się uszy. Nie mógł zignorować tej pozy, leniwych ruchów końca jej ogona, a także lekkiego pulsowania skrzydeł, które spinała całkiem świadomie. Napawała się zakłopotaniem swojego portrecisty.

Vitaj jednym okiem patrzył na nią, a drugim próbował ogarniać sztalugi i powstające na nich dzieło. Nie było to łatwe, gdyż poprosił ją o ukazanie się tak erotycznej pozycji, jak tylko sobie życzyła. Postanowiła całkowicie bezwzględnie to wykorzystać i podbić sobie ego.

Gdy ujrzała wiszący w Wielkiej Galerii nowy portret swej chlebobdawczyni, to aż zapłonęła z zazdrości. Ogólnie chciałaby być bezkrytycznie Luną, posiadać jej urodę, moc, pozycję, mądrość i szacunek. Jednak to wszystko leżało zdecydowanie poza zasięgiem kopyt klaczy, więc na szybko mogła tylko zamówić sobie taki sam portret u tego samego malarza.

Zauważyła, że unikał jej żrenic. Zapewne obawiał się słynnego „hipnotycznego spojrzenia wampirów”. Kiedy po raz pierwszy kapitan de Honneur ją spytał, czy to prawda z

tym spojrzeniem, to otwarcie wybuchnęła mu w twarz śmiechem. Nie umiała go nawet dłużej wkręcać, więc od razu zaprzeczyła.

Nigdy nikogo nie ugryzła, lecz słyszała od swojej babci, że kiedy wampir komuś wbijał kły w szyję, to ofiarę natychmiast paraliżował czarny czar pochodzący z najgorszej głębi podłości. To była genetyczna klątwa, coś jak wrodzona umiejętność pegazów do chodzenia po chmurach, lecz bardziej makabryczna.

A teraz mrużyła oczy, grzywę oplatała sobie wokół kopyt, a ogon zadnich nóg. Szczерzyła i wylizywała kły, a także starała akcentować swój piękny znaczek, a więc liliowe życzenie. Szło jej znakomicie, jak sądziła po zdenerwowaniu malarza. Nie obawiała się, że portret straci na jakości. Słyszała, że ten długogrzywy lowelas nie lubi sztucznego pozowania i szuka u modelek autentycznych emocji i zachowań. No to proszę bardzo!

Czuła, że hipnotyzuje go coraz bardziej pomimo braku tej umiejętności. Może to było jej piękno i hart ducha, a może on sobie po prostu coś wmówił. Fakt, że wodził oczami za jej chwostem. Fakt, że kiedy unosiła głowę, to i on prostował szyję. Poruszała nogą, a wtedy zaczynała mu pulsować żyłka.

No cóż, taka uroda drapieżników. Zawsze wydawały się smuklejsze i dostojniejsze od tego plebsu żrącego trawę. – pomyślała mrużąc erotycznie oczy.

Pozowała na prostej leżance, którą tylko przy dużej dawce uprzejmości można było nazwać łóżkiem, co najwyżej szpitalnym. Ta prostota została jednak wybrana celowo, gdyż jedynym elementem, który mógł odciągać uwagę od modelki miał być sztandar 88. Dywizji Powietrznodesantowej, na którym rozciągnęła się, prezentując wszystkie wdzięki. Choć było to świętokradztwo, to uznała, że połączenie jej erotyzmu i piękna wraz z dumą płynącą z bycia żołnierzem nocy da efekt wykraczający poza ustalone granice zmysłowej sztuki. Miała nadzieję, że portrecista idealnie odda detale sztandaru, aby na płótnie nie okazał się jakąś anonimową szmatą, a symbolem z krwi i kości.

Nagle otwały się drzwi i do komnaty wkroczyła postać wymykająca się takim prymitywnym klasyfikacjom. Według niektórych poetów przy księżniczce Lunie bladła nawet noc.

Pani Nocy wpadła gwałtownie do środka, zamknęła za sobą wrota i dopiero teraz zauważyła całą scenkę. Oba kucyki patrzyły na nią z pewnym przestachem i zażenowaniem, a Mourning Belle spąsowiła, co przy jej szarym umaszczeniu wyglądało bardzo zjawiskowo i teatralnie. Witaj natomiast starał się schować za swoimi sztalugami, lecz nadaremno. Był zbyt wysoki.

Władczyni milczała i jedynie podeszła do swego portrecisty, aby zobaczyć wykończone dzieło. Pokiwała głową z uznaniem i nawet przesłała mu delikatny, subtelny jak pociągnięcie pędzla uśmiech uznania.

Dowódczyni Czarnej Gwardii miała na obrazie nieco bogatsze odzienie, niż w rzeczywistości, gdyż Witaj założył jej specyficzne łososiowe kabaretki jakby połączone z butami, przepasał ją też łańcuchem. Sztandar nieco sztywno zwisał z leżanki, przynięciony poduszką, na której spoczywała nietoperzyca podpierająca się kopytem. Miała surowe, chłodne spojrzenie i patrzyła prosto w oczy oglądającego obraz. W jej pionowej źrenicy podszyto zarówno zdecydowany lód, którym obdarowywała każdego, ale i niepokój. A raczej to ona burzyła wszelkie poczucie bezpieczeństwa, co teoretycznie należało do kolejnej wrodzonej cechy nietokuca, lecz w tym przypadku było szczególnie zaakcentowane.

Równocześnie klacz wydawała się być niezwykle erotycznie ujęta, lecz z drugim dnem. Nie tylko w swej pozie zaszyfrowała groźbę, ale brak litości.

Luna musiała przyznać, że znowu Vitajowi się udało na obrazie oddać jeszcze więcej, niż widziało kucykowe oko.

Lecz to nie był teraz czas na komplementy. Pani Nocy spojrzała tak samo surowo na swoją podwładną, jak ona robiła to z portretu wobec całego świata, a następnie przemówiła poważnym tonem:

– Mistrzu Vitaju, życzę sobie porozmawiać na osobności z kapitan Mourning Bell.

Malarz czym prędzej się wycofał, odruchowo skłaniając głowę i niemalże rysując rogiem po kafelkach. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Luno wyprężyła się i przemówiła niskim głosem:

– Baczość! Proszę powstać z tej leżanki, kiedy przemawia Pani Nocy!

Młodsza klacz bardzo niechętnie zwlekła się z łóżka i przybrała w miarę oficjalną postawę. Nie wyglądała zbyt godnie, szczególnie, że wciąż rumieniła się jak nastolatka. Nie umiała powstrzymać tego głupiego, kompromitującego uczucia. Najwidoczniej coś uderzyło w czuły ton, który ponoć ma w sobie każdy i owocujący podobną deprymującą reakcją. Mogła mieć tylko nadzieję, że bura będzie szybka, ale to była naiwna nadzieja.

– Nie sądziłam, że do obowiązków dowódcy Trzeciego Batalionu Ochrony Protektorki Luftmare Jej Królewskiej Mości Księżniczki Luny „Tight Sleep” należy pozowanie do portretów! Teraz są godziny pracy, a nie sądzę, aby w okresie wojny jakkolwiek oficer narzekał na brak zajęcia!

Wystrzelała te zdania z siebie bardzo szybko, a Mourning Bell wciąż walczyła i próbowała nie skurczyć się w sobie. Wyszczrzyła zęby, ale nie odważyła się zasyczeć.

– Wasza dostojność! Zaręczam, że moje obowiązki wypełniam wzorowo i miałam czas, aby pozować. Nic nie zostało zaniedbane! Przysięgam!

– Jak pani chce wytłumaczyć skompromitowanie symboli lunarnych?! Toż to sztandar... godło jednostki! Jest na nim księżyc i moje wezwanie. Czy muszę komuś tak wysoko postawionemu i posiadającemu równie odpowiedzialną funkcję tłumaczyć zależność między szacunkiem i pewną bojaźnią kucyków do symboli, a ich poczuciem bezpieczeństwa i siłą ducha? Czy naprawdę jest to konieczne? Proszę odpowiedzieć!

Mourning Bell westchnęła głośno, próbując wyzwolić się spod rosnącego gniewu. Poczula pilną potrzebę asertywnego przekazania księżniczce własnego spojrzenia.

– Nie trzeba. Właśnie to był mój cel.

– To znaczy jaki? – zapytała zdziwiona Luna.

– Ja... chciałam połączyć erotykę i patriotyzm.

Księżniczka cofnęła się i uniosła jedną brew, jakby oczekując, że za chwilę ktoś obwieści, że to żart.

– Chciałam w ten sposób wyrazić swój szacunek i miłość do naszych symboli i służby dla księżycy. To szczerza prawda. Chciałam to zrobić w sposób dla siebie samej... czytelny... istotny... piękny.

Księżniczka spojrzała Mourning Bell prosto w oczy w taki sposób, że nietoperzyca aż czknęła. Właśnie została bardzo bezpardonowo prześwietlona przez wszystkie magiczne zmysły Pani Nocy, szukające kłamstwa.

Chyba jednak go nie znalazły, gdyż Luna podeszła ponownie do portretu i obejrzała jakoś tak inaczej. Wzrok zatrzymywał się w zupełnie innych miejscach, niż poprzednio, a także zawiesił się na chwilę na oczach namalowanej wampirzycy.

Wtedy Mourning Bell uświadomiła sobie, że tak naprawdę Luna jedynie przy okazji jest protektorką lotnictwa i marynarki wojennej. Jej rola polityczna również nie zajmowała szczytu piramidy obowiązków i domen, nad którymi rozpościerała swe opiekuńcze skrzydła. To przede wszystkim była patronka artystów, marzycieli, wszystkich śniących...

...ale także w pewnym sensie kochanków i wszystkich nocnych westchnień.

Mourning Bell zdawało się, że postać księżniczki nieco się zmieniła. Stała jakby czystsza, doskonalsza i jeszcze bardziej niezrozumiała. Równocześnie przyciągała do siebie i nie pozwalała odwrócić wzroku czy choćby odetchnąć głębiej. Jakby to ona stała się jakimś hipnotyzującym obiektem!

Wszystko znikło równie szybko, jak się pojawiło. Wręcz na twarzy księżniczki pozostał surowy wyraz niewieszczący niczego dobrego. Mourning Bell odruchowo wyprostowała się i nareszcie stanęła porządnie na baczność.

– Rozumiem twoją ideę. Jest warta rozważenia. Ale nie jest to czas na taką awangardę. W czasie wojny milczą muzy. Zachowaj ten portret, lecz nie pokazuj go publicznie do czasu, aż na to nie zezwolę.

– Kara! – odpowiedziała pokornie Mourning Bell, co może trochę udobruchało księżniczkę. Uklucie w sercu nakazało jej przejść do sedna:

– Za twoje zachowanie należy się dyscyplinarne upomnienie, a ja mam dla ciebie coś odwrotnego, na co nie zasłużyłaś. Misję.

Klacz podniosły się uszy. Nie wierzyła! Naprawdę pomimo astmy będzie mogła wyjść z tego zamku?

– Mój rozkaz brzmi: przygotuj swój batalion do operacji bojowej i wymarszu. Dokładna data jest bliżej nieznana, lecz spodziewaj się, że jednostka uda się ze mną w misję terenową.

– To wielki honor, moja pani! – odpowiedziała zaskoczona Mourning Bell, nim jej charakter nakazał jej udawać niewzruszoną i obojętną wobec wszystkiego i wszystkich. – Czy spodziewamy się starcia z przeciwnikiem?

Luna zmrużyła powieki i spojrzała tak, że szara klacz nie dała rady się dłużej bronić i nagle poczuła się mała i słaba przy majestacie granatowego alicorna. W głębokich, lazurowych oczach Pani Nocy zabłyszczała stalowa pewność siebie i tak ogromna determinacja, jaka posiadają tylko szaleńcy lub oszuści.

Lub Nightmare Moon.

– Bardzo na to liczę!

*

THE ROYAL JOURNAL

15 stycznia 1272

NAJWIĘKSZE STADOBÓJSTWO!
12 tysięcy zabitych!

Nerdy Scribe (Canterlot):

W dniu wczorajszym Dziką Armia dostarczyła do Canterlotu magiczną relację, z której wynika najgorsza możliwa prawda. To najczarniejsze, najbardziej plugawe wieści, które jednak trzeba wyjawiać.

W lesie pod miejscowością Harasshorsk partyzanci Dzikiej Armii odnaleźli miejsce masowego pochówku. Nie ulega wątpliwości, że znaleźli się tam zaginieni żołnierze 3. i 4. Dywizji Piechoty, które bohatersko broniły Manhattanu i Fillydelphii. Po dostaniu się do niewoli słuch o nich zaginął, a tajna korespondencja z jeńcami urwała się w okolicach jesieni. Na podstawie znanych losów większości jeńców z innych jednostek sądziliśmy, że zostali przetransportowani do gułagów w Sombrii po drugiej stronie Oceanu.

PRAWDA JEST JEDNAK UPIORNA!

Zostali bestialsko zamordowani! Wszyscy bez wyjątku zostali straceni! Rozstrzelani, ścięci, powieszani, nierzadko zakopani żywcem! W naszym języku nie ma nawet adekwatnego określenia dla czegoś tak niewyobrażalnie potwornego. Stadobójstwo? Kucobójstwo? Wydają się blade przy tak niezmierzonej tragedii. Najprawdopodobniej w ciągu kilku dni **NKWD ZABIŁO 12 TYSIĘCY KUCYKÓW**, żołnierzy, intelektualistów, pocztowców, kolejarzy, specjalistów współpracujących z wojskiem, a także zwykłe jednorożce i pegazy.

SZACOWANA LICZBA OFIAR: 12 TYSIĘCY. Tyle liczyły jednostki, które dostały się do niewoli.

To odkrycie było możliwe dzięki magicznym zdolnościom jednego z partyzanckich magów, zdolnego do odtworzenia przebiegu tragedii w formie wizji. Wizja ta okazała się bardzo dokładna i została potwierdzona przez badanie przeprowadzone przez Dziką Armie. W Canterlocie autentyczność potwierdzili od razu wszyscy poproszeni o opinię eksperci.

Księżniczka Celestia zarządziła trzydniową żałobę narodową, która minie 17 stycznia. Wystosowała też specjalne przemówienie, które prezentujemy poniżej.

To nie jest wojna prowadzona wedle jakichkolwiek reguł. Armia Czerwona i Sombra nie mają się żadnych, nawet najbardziej fundamentalnych dla cywilizacji zasad. Nie pozostaje nam nic innego, jak nie tylko bronić swojej niepodległości, ziemi czy państwowości. Nie tylko bronimy honoru.

Teraz bronimy także swego istnienia.

KRYSTAŁOWE IMPERIUM BRONI SIĘ NADAL!

SPECJALNE PRZEMÓWIENIE KSIĘŻNICZKI CELESTII

Moi ukochani poddani!

Moje serce pękło i zalało mnie bólem, jakiego nie przeżyłam nigdy w trakcie swych tysiącletnich rządów. Choć od dawna przeczuwałam najgorsze, to karmiłam się nadzieją, że dwanaście tysięcy moich rodaków szczęśliwie doczeka chwili, kiedy ich oswobodzimy. Nawet ja nie przeczuwałam, że Sombra jest gotowy do tak niezmierzonego okrucieństwa. Choć od pierwszego dnia wkroczenia Armii Czerwonej oznaczało dla nas gwałty, śmierć i upokorzenia, to skala mordy pod Harasshorsk musiała zszokować nawet Sombryjczyków. Dlatego z takim wstydem ukryli swe ofiary pod płaszczem ziemi i spróbowali zataić ten czyn na zawsze. Nie mogli spojrzeć w oczy nawet sobie samym. Kat katu, oprawca oprawcy.

Tym bardziej muszę zwrócić się do was wszystkim z apelem o jeszcze większą wytrwałość i odwagę. Wiem, że jako księżniczka jestem zmuszona żądać od poddanych więcej, niż mogą mi dać. Jednak jest to konieczne, jeśli chcemy jeszcze kiedyś bez strachu ujrzeć słońce lub księżyc, spojrzeć w oczy przechodniowi na ulicy. Nadchodzą decydujące dni, w trakcie których odniesiemy zwycięstwo i uwolnimy świat od czerwonej zarazy.

Tak, należy to miano rozumować całkowicie dosłownie. To najbardziej zatrważająca epidemia, jaka nawiedziła nasz kraj. Nigdy nie widziałam równie zjadliwej i śmiertelnej choroby. Żaden mór nie powalił jeszcze naraz i tak szybko równie wielkiego stada. To ostatecznie nas uświadamia, jeśli ktokolwiek miał jeszcze jakieś wątpliwości, że tutaj nie ma kompromisu, rozejmu lub pośrednich rozwiązań. Albo my, albo ona! Nie możemy dopuścić, aby gdziekolwiek u naszych granic istniało i płonęło ognisko tej choroby. Musimy, zaprawdę musimy ją wypłenić! To warunek bezpiecznego i szczęśliwego życia. Dlatego czas na ostateczny wysiłek, który już niedługo nas uratuje. Okażmy jeszcze odrobinę cierpliwości i hartu. Niech wszystkie nasze cnoty pozwolą nam przetrzymać ten trudny czas jeszcze przez chwilę, a zasłużymy na długowieczną nagrodę w postaci bezpiecznego i szczęśliwego kraju.

Dziękuję wam wszystkim, że jesteśmy razem. Że okazujecie sobie wzajemnie wsparcie, co codziennie widzę patrząc w wasze oczy. Nigdy wam tego nie zapomnę i nie zdołam się za to odpowiednio odwdziaczyć.

Zwracam się też do wszystkich narodów i państw, które dotychczas miały wątpliwości, czy obrona Equestrii jest słuszną sprawą. Do tych, co próbowali tłumaczyć imperialistyczne zapędy Sombrii i tolerowali jej politykę. Ale przede wszystkim do tych, co jawnie lub w konspiracji wspierają ją w jej działach. Czy to jest sojusznik, którego znaliście? Czy to na pewno z nim chcielibyście robić interesy i żyć wedle praw, które on ustala i wartości przez niego wyznawanych? A przede wszystkim, czy na pewno chcielibyście, aby wy lub wasze dzieci dzieliły z nim świat, miały go za sąsiada bądź były zmuszone do kooperacji? Czy doprawdy to jest upostaciowienie wszystkich cnót, jakimi wy się kierujecie?

Zadajcie sobie to pytanie. I jeśli macie jakiegokolwiek wątpliwości co do słuszności dotychczasowej drogi, zawróćcie! Jeszcze nie jest za późno, aby pomóc. Już sam sprzeciw będzie pewną pomocą, już samo przerwanie korowodu oszustw i pomyłek, zerwanie współpracy z Sombrią. Powtarzam: jeszcze nie jest za późno, aby jednak przysłużyć się do uzdrowienia świata, a nie roznoszenia czerwonej zarazy.